

KONKRETY

nr 9

**ZDROWEGO
POGODNEGO
WYPOCZYNKU
ŚWIĄTECZNEGO!**



Fot. Krzysztof Raczkowiak

● FOTOREPORTAŻ „ROLNICZA WIOSNA” NA STR. 8—9.

W SKRÓCIE

Na posiedzeniu Miejskiego Obywatelskiego Komitetu Ocalenia Narodowego w Legnicy w dniu 31 marca, w którym uczestniczyli m.in. I sekretarz KM PZPR T. Jazienicki, przewodniczący MK SD T. Zdanowicz i pełnomocnik MKO mjr J. Świst, omawiano kierunki pracy komitetu w najbliższym czasie. Wskazywano na potrzebę rozwinięcia kontaktów z komitetami zakładowymi i osiedlowymi oraz organizacjami młodzieżowymi. Aktualnie przy MOKON działają trzy zespoły robocze: ds. ładu, porządku i bezpieczeństwa publicznego; ds. gospodarki i przemysłu oraz niesienia pomocy ludziom niepełnosprawnym; ds. handlu i usług dla ludności.

Z pracowników służby zdrowia z okazji ich święta spotkali się 7 bm. przedstawiciele władz wojewódzkich. Wicewojewoda legnicki Edward Nir złożył przybyłym województwie remonty placówek służby zdrowia (przeznaczony się na ten cel blisko 150 mln zł), a ostatnio zakupiono dla regionu 40 nowych karettek pogotowia oraz ambulans rentgenowski. Wydatnie usprawni się ponadto łączność radiotelefoniczną z ośrodkami wiejskimi. Uchwałą Rady Państwa Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski został odznaczony zastępca lekarza wojewódzkiego Jerzy Turzański, a Złotym Krzyżem Zasługi, lek. Zygmunt Makowski z Chojnowa. Medalami „Za zasługi dla województwa legnickiego” uhonorowano 17 osób, dyplomami uznania 20 lekarzy i pracowników personelu pomocniczego.

Podsumowano już współzawodnictwo między poszczególnymi drużynami Społecznych Inspektorów Ruchu Drogowego w województwie legnickim w 1981 r. Pierwsze miejsce i puchar przechodni, ufundowany przez komendanta wojewódzkiego MO zdobyli społeczni inspektorzy ze Złotoryi, przed drużynami z Legnicy i Głogowa. Indywidualnie najlepsi w województwie okazali się: Jan Gawroński — Złotoryja, Władysław Rudziński — Legnica, Stanisław Kopieński — Lubin, Piotr Berzowski — Jawor i Eugeniusz Krocak — Głogów. Wszystkim wyróżnionym gratulujemy.

Rozegrano już finał wojewódzki XX Olimpiady Wiedzy Rolniczej. Spośród czterech uczestników eliminacji ustnych najlepszy okazał się: Stanisław Wolak, Franciszek Kościel, August Pawlik, Jan Gałka, Bogusław Michalek, Marian Szuliga. Dwóch pierwszych reprezentować będzie nasz region w eliminacjach centralnych, które rozegrane zostaną w dniach 23—25 kwietnia.

SPRAWY I LUDZIE

„Trzymasz w ręku nowe pismo, chcemy, żeby ono było Twoim” — tymi słowami kończy się redakcyjne postanie nowego tygodnika polityczno-społecznego „Sprawy i Ludzie”, którego pierwszy numer ukazał się we Wrocławiu 1 kwietnia 1982. Na czele zespołu redakcyjnego pisma stanął znany czytelnikom z „Gazety Robotniczej” red. Julian Bartosz.

Jakie zadania postawiła sobie redakcja, jakie jest jej credo? We wspomnianym słowie wstępnym sformulowano je zwięźle — łączą nas Polska i socjalizm oraz wspólne dążenie do wyprowadzenia kraju z kryzysu. Współtworzenie politycznego klimatu i społecznych warunków do tego, by ludzie uczciwie i porządnie pracując, oddający swoją twórczą myśl dla materialnego i duchowego rozwoju Ojczyzny mogli wreszcie zacząć żyć na miarę swojego ciężkiego труда oraz najwyższych życiowych aspiracji i dążeń. Słowem — sprawy i ludzie, interesy klasy robotniczej, interesy tych, którzy wspólnie pragną wyprowadzić Polskę na prostą.

W numerze 1 na uwagę zasługuje obejmujący kilka stron, cały zwarty i wzajemnie się uzupełniający, blok tematyczny poświęcony klasie robotniczej. Aktualne na stroje i refleksje robotnicze Białostockich Zakładów Przemysłu Bawełnianego zostały poszerzone o rozważania socjologów i historyków. Mamy próby odpowiedzi na pytania, czy klasa robotnicza jest jednolita, rozważania o „Solidarności” i roli jej doradców, przypomnienie początków organizowania się polskiego proletariatu przed stu laty.

W numerze 2, który ukazał się wczoraj znalazły się m. in. następujące publikacje: „Proletariat — a polskość, Narodziny masowierii, Skrzyżować ścieżkę ze słowem, Kto to są dogmaty i sekularyzm... Polecamy!

PRZYJACIELSKA POMOC

Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi w Lubinie od wielu miesięcy boryka się z poważnymi problemami zaopatrzeniowymi. Kopalniom brakuje części zamiennych, materiałów i środków do produkcji. Pod koniec lutego w dramatycznej wręcz sytuacji znalazła się kopalnia „Rudna” — brak smaru LT-43 postawił pod znakiem zapytania normalne funkcjonowanie zakładu.

Kiedy okazało się, że zdobycie smaru u krajowych wytwórców jest niemożliwe, dyrekcja kopalni zwróciła się z prośbą o pomoc do dowództwa Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Odpowiedzią była natychmiastowa dostawa 4 ton smaru. Bez przesady można powiedzieć, że pomoc radzieckich przyjaciół przyczyniła się do uratowania poważnie zagrożonego planu wydobycia rudy.

19 marca hr. dyrekcja i KZ PZPR „Rudna” wystosowały na ręce gen. płk. Jurija Zarudina — dowódcy PGWAR i gen. lejtn. Nikołaja Łusznickiego — szefa Zarządu Politycznego PGWAR podziękowanie następującej treści:

„Wielce szanowni towarzysze, kierownictwo Zakładów Górniczych „Rudna” kieruje na wasze ręce najserdeczniejsze podziękowanie za okazaną nam pomoc.

Stanowi ona kolejny przykład braterskiego zrozumienia naszych trudności. Otrzymana dostawa smaru pozwoliła nam na złagodzenie kłopotów zaopatrzeniowych i utrzymanie nieprzerwanej pracy kopalni.

Raz jeszcze wyrażając gorącą wdzięczność organizacji partyjnej i całej załogi, kierujemy serdeczne górnicze pozdrowienia dla dowództwa, generałów, oficerów i wszystkich żołnierzy Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej”.

STAN BEZPIECZEŃSTWA W LEGNICKIM

W Urzędzie Wojewódzkim w Legnicy odbyła się konferencja prasowa na temat stanu bezpieczeństwa w województwie. W spotkaniu uczestniczyli: pełnomocnik WRON płk Edward Kulpiński, szef WSzW — płk Maksymilian Korzeniowski, wicewojewoda Edward Nir, prekrator wojewódzki Jan Bołoch i jego zastępcy Bogdan Salata oraz płk Jerzy Maj i płk Bogdan Garus z KW MO.

Województwo legnickie zalicza się w Polsce do grupy województw zagrożonych, a jeśli chodzi o najcięższe przestępstwa kryminalne (zabójstwa, włamania, kradzieże mienia państwowego i prywatnego, gwałty) to „plasujemy” się między czwartym a szóstym miejscem w kraju. W 1975 roku zarejestrowano u nas 4800 przestępstw, a sześć lat później — 5800! Od wprowadzenia stanu wojennego dynamika przestępczości początkowo bardzo się obniżyła, obecnie ma tendencję zwykłą. Generalnie widoczna jest jednak poprawa stanu bezpieczeństwa, ale oczywiście nadal mocno niezadowolająca.

Jak więc wygląda sytuacja w liczbach bezwzględnych w porównaniu z I kwartałem ub. roku (w nawiasach dane z r. 81): ilość wszczętych spraw — 1146 (1217), napady i rozbój — 12 (23), włamania do obiektów uspołecznionych — 103 (156), gwałty — 7 (9), zabójstwa — 2 (w Legnicy i w jednej z kopalni).

Niezadowolający jest stan społecznej dyscypliny. Nadal notujemy liczne przypadki naruszania godzin milicyjnej. W grudniu ukarano mandatem 118 osób, w styczniu — 389, w lutym — 321, a w marcu, mimo złagodzenia zasad — 328. Przyczyną wielu wykroczeń jest jak dawniej — alkohol. W porównaniu z I kwartałem 81, co należy również przypisać operatywniejszemu działaniu MO, zatrzymane w izbach wytrzeźwień o 715 osób więcej (w Legnicy — 353, Lubinie — 231, Głogowie — 131). Niepokojące wzrosty nielegalnej produkcji i sprzedaży alkoholu. Np. w czasie jednej z akcji w samych tylko Radwanicach ujawniono aż siedem bimbrów. Służba zdrowia informuje także o wzroście zabiegów z tytułu oparzeń (część z nich wiąże się z wybuchami przy produkcji alkoholu). W I kwartale zanotowano 3 śmiertelne wypadki na drogach (w r. 81 — 14), 84 osoby odniosły w nich rany (w r. 81 — 77), w 129 wypadkach (a wszystkich było ogółem 234) przyczyną był alkohol (w I kw. 81 — 266).

Groźnym społecznie i przybierającym zaskarżające rozmowy zjawiskiem jest narkomania (niebawem poświęcimy temu odrębną publikację). W 1981 r. stwierdzono sześć zgonów na skutek przedawkowania środków. W województwie zanotowanych jest ponad 400 narkomanów (głównie ludzie młodzi od 18 do 23 lat). W I kwartale 82 za nielegalną produkcję środków odurzających zatrzymano 26 osób.

Do innych szczególnie ważnych spraw poruszonych na konferencji: oceny wyników kontroli wojskowych grup operacyjnych — wiosna 82 i do materiałów przedstawionych przez Prekuratora Wojewódzkiego powrócimy w następnym numerze. (tr)

MIESIĄC PAMIĘCI

Wojewódzka inauguracja zbliżającego się Miesiąca Pamięci Narodowej odbyła się 29 marca 1982 r. w Szkole Podstawowej nr 4 w Legnicy. Z młodzieżą reprezentującą wszystkie szkoły miasta spotkali się członkowie ZBoWiD i weterani ruchu robotniczego.

Młodzież SP nr 4 złożyła przedstawicielom ZW ZBoWiD meldunek o swych przedsięwzięciach związanych z obchodami Miesiąca Pamięci oraz zaprezentowała przygotowany montaż poetycko-muzyczny. Kombatanek ze wzruszeniem przyjęli teksty i melodie wyłansowane na kolobrzaskich festiwalach — „Biali krzyż”, „Polskie wrzory”, „Kaczeńce”. Zwiedzono szkolną izbę pamięci, w której znajdują się m.in. urna z prochami pomordowanych w Ręgoźnicy oraz autentyczny pasiak i miska obózowa.

Na program tegorocznych obchodów Miesiąca Pamięci Narodowej w województwie legnickim złoży się organizowane we wszystkich placówkach oświatowych wspólnie z ZHP oraz organizacjami młodzieżowymi obojczyńskie wieczornice i spotkania. Młodzież odczyta szeregowa troską miejsca upamiętnione męczeństwem i walką. 1 kwietnia przy nich wszystkich harcerze zaciągną honorowe warty. Tradycyjnie też zostanie zorganizowany przez Komendę Chorągwi rajd rowerowy „Szlakiem miejsc pamięci narodowej”.

MIEDZIOWE WIEŚCI

30 marca w ZG Lubin obradowało plenum Komitetu Zakładowego PZPR. W posiedzeniu wziął udział sekretarz KW PZPR w Legnicy Zbigniew Korpaczewski. Nakreślono zadania dla całej organizacji partyjnej wynikające z uchwały VII Plenum KC i deklaracji ideowej „O co wależymy, dokąd zmierzamy”. Szczególnie ważną rolę przypisano najniższemu, podstawowemu ogniwom organizacji — grupom i oddziałowym organizacjom partyjnym. Podkreślono niezwykle ważną rolę organizacji i doskonalenia szerokiej pracy ideowo-wychowawczej i propagandowej, gdzie główne zadania spoczywają na szeregowych członkach partii. Plenum podkreśliło, iż codzienne postępowanie członka PZPR winny cechować ofensywność, stanowczość i konsekwencja w działaniu oraz skromność i uczciwość.

26 marca powołano w ZG Lubin Zakładowy Obywatelski Komitet Ocalenia Narodowego. Przewodniczącym został Czesław Mularski (PZPR), a wiceprzewodniczącymi Zdzisław Hyrczak (SD) i Jan Zogórski (bezpartyjny).

W Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie odbywały się w marcu zebraania oddziałowych organizacji partyjnych. (Organizacja partyjna w PBKR liczy 505 członków i kandydatów i składa się z 10 OOP.) Obok problemów natury politycznej największą uwagę poświęcono reformie gospodarej. PBKR jest przedsiębiorstwem górniczo-budowlanym, prowadzi roboty w kilku miejscowościach i z tego względu dotarcie z podstawowymi założeniami reformy bezpośrednio do robotnika jest niezwykle utrudnione. To zadanie wzięła na siebie organizacja partyjna. Przy Komitecie Zakładowym PZPR utworzono także komisję ekonomiczną. Głównym jej zadaniem będzie szczegółowa analiza wszystkich stanowisk pozaprodukcyjnych. Chodzi o wyeliminowanie zbędnych funkcji w administracji gospodarej i dozorze technicznym. Raport komisji z odpowiednimi wnioskami zostanie skierowany do dyrekcji przedsiębiorstwa.

Najmłodszych członków partii, w ramach indywidualnych zadań partyjnych, obarczono obowiązkiem nawiązania współpracy z ZSMP. Uaktywnienie działalności tej organizacji jest niezwykle ważnym i ważnym zadaniem. W PBKR czeka na mieszkaniach 600 młodych ludzi, a perspektywy nie są, niestety, najweselejsze. Dyrekcja byłaby gotowa rozważyć projekt zakładowego budownictwa jednorodzinnego, ale musi się to odbyć przy bezpośrednim udziale samej młodzieży. Dlatego uaktywnienie działalności ZSMP jest dla organizacji partyjnej ważną sprawą.

29 marca w zarządzie KGHM w Lubinie członkowie podstawowej organizacji partyjnej dyskutowali nad założeniami deklaracji „O co wależymy, dokąd zmierzamy”. W dyskusji zgodnie stwierdzano, iż najważniejszym zadaniem spoczywającym na każdym członku partii jest uczciwa i rzetelna praca. Bawiem tylko w ten sposób można odbudować zaufanie społeczeństwa do partii i uświadomić, że program wypracowany na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR będzie konsekwentnie realizowany. (df)

ZIELONY TELEFON

ZOSTAŃ
PODOFICEREM

Podoficerowie zawodowi zajmują w wojsku ważne i odpowiedzialne miejsce — są bezpośrednimi dowódcami, instruktorami i wychowawcami żołnierzy służby zasadniczej. Są też specjalistami technicznymi, odpowiedzialnymi za właściwą obsługę i eksploatację powierzonych im sprzętu bojowego i uzbrojenia. Pełnią służbę we wszystkich rodzajach wojsk, a więc w jednostkach: zmierzających, pancernych, inżynieryjnych, lotniczych, radiotechnicznych, łączności, chemicznych, rakietowych i artylerii, kolejowych i drogowych, ochrony pogranicza, marynarki wojennej, służby kwatermistrzowskiej, inżynieryjno-budowlanych, samochodowych, w służbie wewnętrznej i służbie zdrowia.

Absolwenci szkół podoficerskich są dowódcami drużyn, pomocnikami dowódców plutonów, dowódcami plutonów, radiostacji, wozów bojowych, wyrzutni rakietowych, szefami pododdziałów i strażnic WOP, kontrolerami w granicznych placówkach, kierownikami warsztatów, kuchni żołnierskich, magazynów. Wykonują też wiele innych odpowiedzialnych czynności. Stanowią oni oddzielny korpus osobowy składający się z podoficerów młodszych i starszych, a o wyborze odpowiedniej szkoły winny decydować rzeczywiste zainteresowania i uzdolnienia.

Kandydatów do szkół podoficerskich obowiązują różne tryby rekrutacji. Do szkół marynarki wojennej kandydaci przyjmowani są bezpośrednio do Podoficerskiej Szkoły Zawodowej Marynarki Wojennej w charakterze kandydatów na żołnierzy zawodowych, a nauka trwa dwa lata. Muszą oni posiadać obywatelstwo polskie, stan wolny, wiek 17—24 lata oraz odpowiednie wartości moralne i polityczne.

Kandydaci do pozostałych szkół przyjmowani są w charakterze ochotników do zasadniczej służby wojskowej, po ukończeniu której (lub po 18 miesiącach służby) przyjmowani są do wojskowej służby zawodowej i kierowani na 6-miesięczne szkolenie do odpowiednich podoficerskich szkół zawodowych. Muszą oni spełniać następujące warunki: obywatelstwo polskie, stan wolny, ukończony 17 rok życia, kategorię zdrowia „A”, odpowiednie wartości moralne i polityczne, ukończoną zasadniczą szkołę zawodową lub dwie klasy szkoły średniej. Ponadto do tych szkół przyjmowani są podoficerowie długoterminowej zasadniczej służby wojskowej i podoficerowie rezerwy.

Szczegółowych informacji dotyczących wszystkich rodzajów szkół udzielają Wojskowe Komendy Uzupełnień w Legnicy (tel. 250-76, wewnętrzny 15) i Głogowie (334-71, wewn. 848) w dni robocze, w godz. 8—15. Takich samych informacji można będzie zasięgnąć w dniu najbliższym, w godz. 14.30—16.00, pod telefonem 602-26, podczas kolejnego

Jest taka mapa, do której się sięga w każdej polskiej szkole na lekcjach historii; jest taka książka, która stanowi zwięzły do tej mapy komentarz. Tytuły obu niemal identyczne: „Miejsca walki i męczeństwa w Polsce — lata wojny 1939—1945”, a wydawcą ich jest Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. Co może każdy wypisać z tych zebranych dokumentów? Prawdą, że nie ma prawie miejscowości w Polsce, w której nie ma śladów męczeństwa, heroicznej walki, braterstwa narodów walczących z faszyzmem. Dziś w tych miejscach są tablice pamiątkowe, obeliski, pomniki i cmentarze, ale czas zaciemnił w pamięci tragizm dni, którego młodzi nie są w stanie sobie ani wyobrazić, ani odtworzyć.

Cóż wiemy o tych tysiącach wymordowanych przez faszystów jeńców w obozach koncentracyjnych, stalagach, co wiemy o poległych, bezimiennych żołnierzach wyzwalałych nasze ziemie? Bo trzeba pamiętać, że obok takich znanych miejsc jak Oświęcim, Gross-Rosen, czy Łambinowice istniały setki podobozów, filii, gdzie równie skutecznie mordowano wycieńczającą pracą. Właśnie tu na ziemiach zachodnich żołnierski wyzwoleniec szlak Armii Radzieckiej i ludowego Wojska Polskiego został poprzedzony szlakiem jenieckiej gehenny. Ginęli w lagrach żołnierze całej koalicji antyhitlerowskiej — Francuzi, Anglicy, Rosjanie, Polacy, Jugosłowianie. Statystyki nie wszystko mówią, zresztą oprawy pozacierali ślady. W stalagu w Łambinowicach pod Opolem straciło życie m. in. ponad 70 tys. żołnierzy radzieckich, a ilu w Gross-

ZIEMIA WERBLEM
WAS WZYWA

-Rosen, Strzegomiu, Zgorzelcu, Zaganu, Koninie Zagąskim, w Świątoszowie? Nie mamy opracowanej historii stalagów. Są tylko wyrzykane wspomnienia tych, co ocalili oraz tu i ówdzie odnalezione po latach zbiorcze mogiły — jak to miało miejsce w lesie pod Zaganem — pozwalające tylko w przybliżeniu uzmysłowić sobie ogrom męczeństwa i zbrodni. Tysiące, setki tysięcy...

Na ten pierwszy tragiczny jeniecki szlak nakłada się drugi — szlak zwycięski wyzwolenicieli. Tu też nie sposób wymienić wszystkich miejscowości, bo wszystkie ważne, wszystkie okupione żołnierską krwią i trudem. Dla przykładu na linii Odry — Opole, Wrocław, Ścinawa, Głogów. Dlatego nie jest przypadkiem, że po latach, po zakończeniu II wojny światowej, w każdym mieście i miasteczku w rocznicę tamtych pamiętnych dni odsłaniano pomniki wdzięczności dając wyraz hołdu, szacunku i pamięci. Bo czcimy i pamiętamy o wszystkich, którzy przysięgli poświęcić życie i walczyć na polskiej ziemi. Bo jak powiedział mi ostatnio na spotkaniu jeden z kombatanów — tej wspólnej walki nigdy nie zapomnimy i nie pozwolimy skalować jej historii ani zacierać jej śladów.

Działająca w województwie legnickim Rada Ochrony Miejsa Walki i Męczeństwa przy współudziale wojewódzkiego konserwatora zabytków dokonała inwentaryzacji na naszym terenie wszystkich miejsc narodowej pamięci. Wszystkie są równie cenne, choć różną mają postać. Mamy cmentarze żołnierzy radzieckich (Legnica, Jawor, Lubin, Chocianów), pojedyncze mogiły nieznanymi żołnierzami, obeliski upamiętniające wkroczenie i zdobycie przez żołnierzy 13 armii I Frontu Ukraińskiego poszczególnych miast i wsi, stawiane zaraz po przejściu frontu przez oddziały radzieckie w r. 1945, mamy pomniki wdzięczności i braterstwa broni oraz tablice odsłaniane po latach w rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem. Ze nie było to lekkie zwycięstwo mówią cmentarze i mogiły. Na legnickim cmentarzu komunalnym złożone zostały prochy 2249 żołnierzy i oficerów Armii Radzieckiej, w Chocianowie — 723, w Jaworze — 610, w Lubinie — 445. Cmentarze te — z wyjątkiem Chocianowa — poddano renowacji. Uczyniono to przy aktywnym udziale działaczy ZBoWiD, TEPK, władz partyjnych i administracyjnych miast. W Legnicy prace ukończono w r. 1975, w Jaworze w 1974. Rozpisano w tym celu konkursy wśród artystów rzeźbiarzy i architektów na zagospodarowanie całego terenu. W wyniku tego miejsca te uzyskały dodatkową powagę i wymowę. Troszczono się o każdy szczegół. W Legnicy dzięki temu bardzo interesująco rozwiązano m. in. ogrodzenie cmentarza, wykonując je ze stylizowanych betonowych ogniw czołgowych.

Każde z tych miejsc ma swego opiekuna — szkolną drużynę harcerską. Trzeba przyznać, iż harcerze starają się wywiązywać ze swych obowiązków nie tylko przed państwowymi rocznicami i świętami. Za ten wkład legnickim działaczom Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska przyznało w roku ubiegłym nagrodę w wysokości 400 tys. zł, która została przeznaczona na odnowienie i uświetnienie cmentarza. Większość z tych pieniędzy pochłonęło wykonanie nowych, trwałych tabliczek nagrobnych. Emaliowane napisy na blaszce zastąpiły odlane z żeliwa.

Nie do rzadkości należą wypadki, że rodzinom z głębi Związku Radzieckiego po latach udaje się odnaleźć mogiły najbliższych i powrócić do kraju z przekonaniem, że pamięć o poległych bohaterach wielkiej ojczyźnianej wojny jest trwała i żywa.

(tr)

KONKRETNE PYTANIE

GDZIE SIĘ
PODZIAŁY RYBY?

Konserwy rybne, ryby mrożone należały do artykułów, które można było dostać w każdym sklepie spożywczym. Ale już od roku próżno by szukać ryb w jakiegokolwiek postaci. Czyżby i tutaj zadziałały mechanizmy kryzysu? Czy może handel działa nieruchawo? Innymi słowy — gdzie szukać przyczyn słabego zaopatrzenia w ryby, czy są szanse na wzbogacenie naszego jadłospisu? Z tymi pytaniami zwróciliśmy się do ANDRZEJA NOWAKOWSKIEGO — kierownika wojewódzkiej hurtowni „Centrali Rybnej” w Legnicy.

— Handlujemy tym co posiadamy, a dostajemy znacznie mniej niż jeszcze dwa lata temu. No bo jeśli w marcu 80 r. sprzedaliśmy 232 tony ryb, to w minionym miesiącu br. o 92 tony mniej. Niedostatek ryb spotęgowała grudniowa decyzja Reagana, który zabronił jednostkom polskim połowów u brzegów USA. Zanim więc przemieści się flota rybna na nowe łowiska i zanim zaczniemy otrzymywać stamtąd rybę, trochę czasu upłynie. Mimo jednak tych problemów, nasze sklepy mają w ciągłej sprzedaży dorsza i śledzia świeżego. W tygodniu przedświątecznym wysłaliśmy na rynek 6 ton karpia i 4 tony śledzia solonego.

Oddzielnego omówienia wymaga kwestia dostaw konserw. Brakuje opakowań. Tak przynajmniej tłumaczy się przedsiębiorstwa rybackie. Uzupełniamy rynek konserwami importowanymi, głównie z ZSRR. Niestety, nie mamy tyle ryby przetworzonej, abyśmy mogli skierować ją do handlu. Zaopatrujemy więc głównie kioski zakładowe. Spora część ryb mrożonych kierujemy do gastronomii. To zrozumiałe. Zakłady gastronomiczne otrzymują coraz mniej mięsa i drobiu.

Ale nie siedzimy bynajmniej z założonymi rękami i nie czekamy, aż nam ryby „z nieba spadną”. Ponieważ są duże możliwości nabycia ryby świeżej, więc chcemy tę szansę wykorzystać i uruchomić w naszej bazie produkcję marynat. Dokonałszy poważnej przebudowy, sprowadziliśmy maszyny i już 3 maja ruszamy. Jeśli tylko nie będzie kłopotów z nabyciem 25-dkg słoików, to na początek każdego dnia będziemy mogli dać do sklepów pół tony „moskalików” marynowanych. W drugim etapie, po przebudowie części magazynów na hale, rozszerzymy produkcję o garmażerkę, kotlety, filety.

Ideę przetworstwa ryb w Legnicy podsunęła nam reforma gospodarcza. Po prostu nie chcemy żyć z samych tylko marz, które powodują, że „Centrala Rybna” cały czas jedzie na deficycie, albowiem na nas spoczywa obowiązek transportu towaru do sklepów, co obciąża nas dodatkowo.

Uruchomienie produkcji marynat stwarza możliwość zatrudnienia kilkudziesięciu kobiet. Na początek chcemy przyjąć dziesięć pracowników. Po uruchomieniu kolejnych hal, będziemy mogli zatrudnić jeszcze dziesięćdziesiąt pań.

Drukujemy trzecią część opracowania doc. dr. ADAMA KOSESKIEGO (poprzednie ukazały się w numerach 7 i 8), będącego próbą analizy przyczyn polskich kryzysów i prezentacji głównych kierunków polityki partii w latach siedemdziesiątych. Tytuł pochodzi od redakcji.

OSTATNIE AKORDY TANIEGO OPTYZMU

Lata 1974—1975 przyniosły dalszą falę uchwał posiedzeń plenarnych KC coraz bardziej odległych od realiów życia społecznego Polski, tym bardziej że polityka ekipy Gierka zaczęła przybierać charakter w znacznym stopniu działań doraźnych, nie ujętych w ramy konkretnie sformułowanego planu. Mimo zapowiedzi o potrzebie socjalistycznych przekształceń na wsi, uchwała XV Plenum w sprawie gospodarki żywnościowej i rozwoju rolnictwa (22—23 października 1974) grzeszyła gadulstwem i pustymi obietnicami. Wprawdzie postulowała, że gospodarstwa uspołecznione przejmujące ziemię będą korzystały z dodatkowych środków inwestycyjnych, lecz równocześnie zapewniała dzierżawienie przez dobrych rolników gruntów PZL. Popierano w niej także rozwój kolekt rolniczych jako formy organizacyjnej, zapewniającej realizację socjalistycznych zasad gospodarowania. Wielkie nadzieje związane też z podporządkowaniem naczelnikowi gminy służby rolnej i przekazaniem mu szerokiej uprawnień w gospodarce ziemią.

Nim doszło do zwołania VII Zjazdu PZPR w grudniu 1975 r., na posiedzeniach plenarnych rozpatrywano m.in. problemy dalszego ideowo-politycznego i organizacyjnego umocnienia partii oraz doskonalenia funkcjonowania władz i administracji terenowej w związku z finalizowaniem koncepcji reformy administracyjnej kraju.

VII Zjazd uznał, że program partii był zgodny z potrzebami klasy robotniczej i czynnikiem umacniającym jedność moralno-polityczną narodu. Stwierdził, że w Polsce urzeczywistniona została pomyślnie większość zadań okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu, co pozwala wkroczyć w nowy i wyższy etap budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Uznano tym samym, że społeczeństwo takie było już kształtowane, a lata 1976—1980 miały przynieść istotny postęp na tej drodze.

Sformułowane zostały zadania partii w pięciu głównych obszarach budowania rozwiniętego socjalizmu, tj. w sferach: ekonomicznej, społecznej, politycznej, świadomości i ideologii oraz międzynarodowej. Już sama kolejność w usytuowaniu tych sfer stanowiła pewnego rodzaju kryterium ważności celów. Nie cele polityczne czy społeczne były tu najważniejsze, lecz ekonomiczne. Wynikało to zapewne z przyjęcia błędnej przesłanki, że „państwo nasze ma dziś w pełni socjalistyczny charakter, władza należy do ludu pracującego, kierownicza rola partii przejawia się czynnie we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Socjalistyczne stosunki produkcji dominują w przemyśle i w innych działach gospodarki”. Zbagatelizowano fakt, że daleka od socjalistycznych przeobrażeń była polska wieś.

Powszechnie atakowana dzisiaj teza o budowie rozwiniętego społeczeństwa była i jest słuszną z teoretycznego punktu widzenia, ma uzasadnienie w marksizmie-leninizmie. Zgłoszenie tej tezy faktycznie już na progu lat siedemdziesiątych i nobilitowanie jej na VII Zjeździe budziło u niecierpliwych wówczas — i powszechnie budzi dzisiaj — wątpliwości. Jeśli przyjmujemy, że brak było realnych przesłanek w bazie i nadbudowie dla lansowania programu rozwiniętego socjalizmu, to nawet tej przedwcześnie zgłoszonej tezie towarzyszyły zjawiska naruszające elementarne zasady ustroju socjalistycznego, w tym przede wszystkim zasady sprawiedliwości społecznej. Praktyka wykazała, że teza ta była przedwcześnie, bowiem rozróżnienie między programem a jego realizacją pogłębiało się w tempie błyskawicznym. W dodatku, patrząc z dzisiejszej perspektywy, warto zwrócić uwagę, że wychodzenie ze stagnacji lat sześćdziesiątych i psychicznego wstrząsu spowodowanego wydarzeniami grudniowymi nie mogło doprowadzić tylko z woli kierownictwa partii i rządu, nie bez wpływów zewnętrznych do wkroczenia w etap rozwiniętego socjalizmu.

Pogarszająca się koniunktura w handlu zagranicznym, widoczne już symptomy zahamowania koncepcji dynamicznego rozwoju nie wpłynęły na zmianę priorytetów w polityce partii. Uchwała VII Zjazdu powie-

szła, lecz tym razem oznaczało to utrwalenie — zamiast skorygowania — niekorzystnych tendencji rozwoju. Niestety, nie zostały one poddane rzetelnej weryfikacji i konfrontacji z praktyką. Głównym celem polityki społeczno-gospodarczej stała się „dalsza poprawa warunków życia narodu na gruncie rozbudowy i modernizacji potencjału ekonomicznego kraju”. Przewidywano, że wskaźniki rozwoju utrzymają się niemal na takim samym poziomie jak w pierwszej pięcioletce. Zakładano, iż „oba pięcioletnia lat 1971—1980 cechuje jednolita koncepcja społeczno-ekonomiczna, jednolita hierarchia celów i metod socjalistycznego budownictwa. Urzeczywistnienie programu, który przedstawiamy zjazdowi — mówił Edward Gierk — sprawi, że w całej obecnej dekadzie dźwigniemy nasz kraj na nowy, jakościowo wyższy szczebel rozwoju”.

Zgodnie więc z tymi zapowiedziami partia nie dokonała istotniejszych korekt swojej polityki, mimo że sprzeciw klasy robotniczej Radomia i Ursusa stanowił sygnał ostrzegawczy istniejących napięć wewnętrznych, a stopniowe odchodzenie niektórych państw kapitalistycznych od ducha Aktu Końcowego z Helsinek nakazywało wstrzymanie się w ocenie możliwości budowania rozwiniętego socjalizmu w warunkach pogarszania się stosunków między dwoma przeciwstawnymi systemami.

Tak się jednak nie stało. Tuż przed wybuchem robotniczych protestów 1976 r. (choć dzisiaj już wiadomo, że nie tylko robotniczych) III Plenum KC z lutego 1976 r. przyjęło uchwałę w której usankcjonowało — głoszoną już wcześniej — tezę o jedności moralno-politycznej narodu. Była to teza usypiająca partię, rozbrajająca ją politycznie i ideologicznie. Wiodła ta teza wprost do przekonania, że wkrótce będziemy w Polsce mieć do czynienia z państwem ogólnonarodowym, a w konsekwencji także i z partią całego narodu i dla całego narodu. Stosownie do tej koncepcji partia jawiła się jako niemal ponadklasowa organizacja polityczna, superarbitr wobec rzekomo zanikających sprzeczności grupowych i warstwowych, swego rodzaju „nadurząd” w stosunku do instytucji państwowych.

Perturbacje rozwoju społeczno-gospodarczego nasiliły się zwłaszcza w dziedzinie rolnictwa. Już VI Plenum KC z 9 września 1976 powróciło do problemów pełnej realizacji zadań w rolnictwie, wytyczonych na VII Zjeździe. Ponownie tę sprawę rozpatrywało XI Plenum z 17 marca 1978 r. Spierając trudności wskutek jednostronnego rozwijania przemysłu ze szkodą dla innych działów i gałęzi gospodarki narodowej było tak duże, że żadne decyzje posiedzeń plenarnych KC nie mogły zapobiec narastającej lawinowo katastrofie gospodarczej i kryzysowi społeczno-politycznemu. II Plenum KC PZPR z 22 stycznia 1976 zajmowało się kwestią lepszego wykorzystania rezerw w gospodarce narodowej. Zajmowano się także oceną stanu realizacji programu mieszkaniowego oraz zadań w dalszym jego rozwoju i doskonaleniu (VIII Plenum z czerwca 1977), podnoszenia efektywności gospodarowania i lepszego zaspokajania potrzeb społeczeństwa (IX Plenum z października 1977). Już same nazwy uchwał świadczą, że kierownictwo partyjno-państwowe nie mogło sobie nie zdawać sprawy z niekonsekwencji działania i realizowania przyjętych programów. Uchwała V Plenum zapowiadała przegrupowanie sił i środków w gospodarce w celu przewyższenia niekorzystnych zjawisk, tzw. manewr gospodarczy. Od samego początku manewr ten skazany był na niepowodzenie, bowiem zmiana priorytetów, ogromnie trudna, narażała skarb państwa na poważne straty finansowe, m.in. wskutek zamrożenia inwestycji, zablokowania produkcji, braku możliwości wykorzystania zakupionych maszyn i urządzeń. Przegrupowanie sił i środków, mające przynieść poprawę warunków materialnych społeczeństwa, okazało się także mało realne wskutek niechęci ówczesnych decydujących o jego rozmiarach, forsujących nadal rozwój przemysłu grupy I.

ny podczas obrad IV Krajowej Konferencji Partyjnej (7—8 stycznia 1978). Nie zmieniając celów strategicznych, które rzekomo potwierdzało życie, stwierdzając iż w okresie „ostatnich dwóch lat uchwały VII Zjazdu były pomyślnie wykonywane” przyznawano jednocześnie: „W urzeczywistnieniu celów i zadań społeczno-gospodarczych państwo nasze napotkało poważne przeszkody (...). W wyniku pogorszenia się wewnętrznych i zewnętrznych czynników rozwoju nie udało się w latach 1976—1977 osiągnąć w pełni zamierzonego zwiększenia wytworzonego dochodu narodowego”.

Stwierdzenia o pomyślnym wykonywaniu uchwał VII Zjazdu i nieosiągnięciu założonych wskaźników wzrostu dochodu narodowego zostały — jak na ironię — umieszczone w jednym akapicie. Nie wyodrębniono jednak żadnych samokrytycznych wniosków z istniejących trudności, które nawet gdyby były spowodowane wyłącznie czynnikami zewnętrznymi, wymagały konsekwentnego przewyższenia, a nie wpadania w stan euforii i samouwielbienia. Wyraziło się to m.in. w tym, że II Krajowa Konferencja PZPR nie tylko zaaprobowała politykę dotychczasową, lecz wyraziła uznanie Komitetowi Centralnemu, Biuru Politycznemu i osobie towarzysza Edwarda Gierki za konsekwentne i twórcze działanie na rzecz dalszego rozwoju kraju, poprawy jakości pracy i warunków życia narodu.

Zamiast podjęcia konkretnych decyzji, przeciwdziałających spierzaniu się trudności, II Konferencja ograniczyła się wyłącznie do apeli o lepszą i wydajniejszą pracę — do robotników, o przyspieszenie wzrostu produkcji rolnej — do chłopów i pracowników rolnictwa, a także do wszystkich Polek i Polaków o pomoc. Nie apelowano tylko o łaskę niebios, choć była ona najbardziej potrzebna.

Nietrafność ocen II Krajowej Konferencji Partyjnej, ostatniego akordu sztucznego i taniego optymizmu lat siedemdziesiątych, wykazały ostatnie lata planu pięcioletniego. Potwierdziły to także obrady VIII Zjazdu PZPR w lutym 1980 r. Przyznano na nim, że „nie wszystkie zamierzone cele zostały osiągnięte”, nie wykonano planowych zadań w dziedzinie poprawy efektywności gospodarowania. Mimo wielu głosów krytycznych, podważających celowość przyjętej strategii rozwojowej ze względu na wysokie koszty społeczne, uchwała VIII Zjazdu: „Zadania partii w dalszym rozwoju socjalistycznej Polski, w kształtowaniu pomyślności narodu polskiego” głosiła zasadność programów VI i VII Zjazdu, postulowała kontynuowanie dotychczasowych kierunków rozwoju także w latach osiemdziesiątych.

Najbliższe miesiące miały przynieść najważniejszy w dziejach Polski Ludowej kryzys społeczno-polityczny i gospodarczy, a także kryzys socjalistycznego systemu wartości, a uchwała określała, że Polska jest już krajem socjalistycznym, o czym świadczył sam jej tytuł. Nadal mówiono więc o „doskonaleniu i dalszym rozwoju”, „potrzebie umacniania”, „jedności moralno-politycznej”, lecz były to już, jak nigdy przedtem, frazesy bez pokrycia. Zdziwili braki realizmu wyraził się także w przyjęciu uchwały w sprawie kompleksowego zagospodarowania Wisły oraz wykorzystania zasobów wodnych kraju. Dekada przyspieszonego rozwoju, budowy „drugiej Polski” kończyła się równie niesławnie dla Gierki i Jaroszewicza jak lata sześćdziesiąte dla Gomułki i jego ekipy.

Takie były założenia polityki partii w latach siedemdziesiątych. Jej inicjatorzy mieli zapewne dobrą wolę, być może poza niezbędnymi przypadkami ludzi bez moralności, ale przecież polityków realizujących nie za dobrą wolę i najlepsze nawet chęci, a za konkretne rezultaty. W ogólnym bilansie są to rezultaty co najmniej niezadowolające. Zaprzeczono kolejną szansę przełamania bariery dzielącej Polskę od rozwiniętych krajów socjalistycznych, wyrównania najbardziej rażących dysproporcji rozwojowych, zapewnienia jej ustabilizowanego ry-

POP jest mała. Załadowie 40 członków. Pozostali tylko ci mocni psychicznie, ci, którzy przeżyli najtrudniejszy okres. Poprzedni sekretarz zrezygnował z funkcji po ogłoszeniu stanu wojennego. Jego następcą, głównym technolog w Fabryce Przewodów Nawojowych w Legnicy ADAM NIEWADA w zeszłorocznych wyborach uzyskał drugą w kolejności liczbę głosów. Jest pierwszym sekretarzem POP od niedawna — to łatwo policzyć.

ZROBIĆ PIERWSZY KROK

● Czy jest prawda, że w partii, na najniższych szczeblach jej działania nastąpiło ożywienie, wzrost aktywności?

— Trudno dać jednoznaczną odpowiedź na to pytanie. W zasadzie nadal nie możemy otrzaskać się z kryzysem, jaki nastąpił w partii po Sierpniu 80 roku. POP liczyła ponad stu członków, teraz zostało nas czterdziestu. Ale nie w ilości członków rzecz. Okazało się bowiem, że w egzekutywie zasiada przeważnie kadra kierownicza zakładu. Nie wydało mi się — sekretarzowi stanu wojennego — że jest to normalne. Uważam bowiem, że kierownictwo organizacji musi składać się także z robotników. W tej chwili w egzekutywie działają tacy. Po prostu dookoptowaliśmy ich do jej składu.

● Fakt, że jednak w egzekutywie działa przede wszystkim kadra kierownicza wpływa chyba na proces załatwiania różnych spraw?

— I jest to nieuniknione. Nie ukrywam, że niekiedy rzutuje to ujemnie na sprawność naszego działania. Przeszkadza nam niekiedy rutynowe podejście do sprawy. Kierując zakładem wiemy, co jest możliwe do zrealizowania, a co nie. Tymczasem robotnika nie obchodzi, czy są warunki mogące zaspokoić jego żądania — na przykład socjalne lub płacowe. Staramy się kojarzyć te dwie, często wykluczające się rzeczy. Schematyzm w naszym działaniu nie jest jednak zjawiskiem typowym. Być może, że bierze się on z trwającego nadal stanu wycofania, pewnej bierności, jaka postrzega wśród członków partii. Wielu jest przygnębionych wprowadzeniem stanu wojennego w naszym kraju.

● Jak wobec tego wygląda ranga organizacji partyjnej w fabryce? Czy jej autorytet polega wyłącznie na tym, że kierują nią ludzie kierujący jednocześnie zakładem?

— To byłoby zbyt duże uproszczenie. Z pewnością to, że ludzie z kadry kierują organizacją, ma wpływ na jej autorytet. Sądzi jednak, że autorytet można zbudować jedynie poprzez dokonania, konkretne efekty. I w zasadzie wtedy przestaje być ważne, kto kierował. Liczą się tylko efekty pracy. A stawka jest wysoka. Idzie o wygraną wiarygodności partii w społeczeństwie.

● Mówiliśmy o konkretnych działaniach...

— Jako organizacja partyjna wyszliśmy z założenia, że naszym głównym zadaniem powinno być dbanie o interesy załogi. Po ogłoszeniu stanu wojennego powołaliśmy komisję socjalną. Związki zawodowe zostały zawieszane, ale nikt nie zawiesił spraw ludzkich. Staramy się o rzeczy pozornie drobne jak olej, masło, środki higieny. Lecz nie jest o to łatwo. Nie ma po prostu etatu — tak, jak to jest w innych zakładach — dla człowieka, który załatwiałby te sprawy. Zresztą trzeba pamiętać, że funkcjonują także służby socjalne. Problem dogrania tych działań, skoordynowania ich ze sobą jest naszym głównym celem. Komisja socjalna powinna być kanałem łączącym załogę ze służbami socjalnymi, a zarazem uzupełniać ich działalność.

● Można więc powiedzieć, że komisja socjalna spełnia rolę zawieszanych związków zawodowych. Stan wojenny nie będzie trwał wiecznie i problem związków zawodowych stanie się znów aktualny...

— Muszę powiedzieć, że przed 13 grudnia „Solidarność” w naszej fabryce zajmowała się przede wszystkim działalnością związkową. Nie było u nas wielkiej polityki, nie było także otwartych konfliktów na linii związki — organizacja partyjna. Pewną miarą tej sytuacji może być to, że w zakładzie nie było tej jaskrawej, wyklejanej propagandy niby to związkowej, a w gruncie rzeczy politycznej. Byłem przewodniczącym, zespołu przygotowującego zasady działania przyszłego samorządu i muszę powiedzieć,

że wiele nam pomogli koledzy z „Solidarności”. Z naszych wspólnych doświadczeń na pewno skorzystamy w przyszłości.

● W partii trwa obecnie dyskusja nad projektem deklaracji ideowo-programowej „O co walczymy, dokąd zmierzamy”...

— Nasi członkowie znają ten dokument. Może nie wszyscy go ozytali, jednak są zorientowani i z sygnałów, jakie do mnie dochodzą, wiem, że darzą poparciem jego główne założenia. Oczywiście ludzie chcieliby, aby w deklaracji znalazły się konkretne terminy na przykład wyjścia z kryzysu gospodarczego. Wiadomo jednak, że nasza skomplikowana sytuacja wykluczy w zasadzie wszelkie dokładne prognozy.

● Wolę wyjścia z kryzysu zawartą w projekcie deklaracji trzeba jednak poprzeć oddzielną uczciwą pracą...

— Tak. I jest to najważniejsze zadanie dla naszej organizacji partyjnej. Przecież to, czy będzie produkcja, czy zapewni się ludziom pracę jednoznacznie rzutuje na opinie załogi o organizacji partyjnej i skuteczności jej działania. Obecnie mamy warunki po temu, by porządkować wiele spraw produkcji. Zastanawiamy się nad obniżeniem kosztów i podniesieniem jakości naszych wyrobów. Przedsiębiorstwo działa w nowych warunkach finansowych. Musimy na siebie zarobić. Musimy zarobić na niezbędny import lakierów do przewodów nawojowych ze strefy dolarowej. Muszę tu zaznaczyć, że nie mamy rozeznania możliwości sprowadzania tych składników z krajów RWPG. Gdyby taka istniała, znacznie obniżylibyśmy koszty. To kolejne zadanie dla kierownictwa fabryki. Również organizacja partyjna przyjęła za swoje zadanie współuczestniczenie we wdrażaniu reformy gospodarczej. Będzie pełniła funkcję kontrolną i inspirującą te działania.

● Słyszysz się opinię, że stan wojenny nie sprzyja reformie...

— To pozory. Wszystko zależy od operatywności ludzi. Służb ekonomicznych i za-

opatrzeniowych. Wiele może pomóc komisarz wojskowy. W naszej fabryce współpraca między komisariatem, dyrektorem naczelnym i sekretarzem POP układa się bardzo dobrze. Nie oznacza to, że nie trapią nas bólaćki. Mamy kłopoty ze wspomnianym już lakierem, ale na to nie poradzi nikt z nas. Zachodzi nieraz potrzeba improwizacji, łataniny, dawania ludziom zastępczej pracy. Powoli sytuacja ulega poprawie, zwłaszcza z zapewnieniem surowców.

● Z przebiegu naszej rozmowy jasno wynika, że sprawy organizacji partyjnej są ściśle związane z problemami produkcji i zapewnienia ludziom pracy...

— To oczywiście. Jako organizacja partyjna chcemy być konsekwentni. Zamiast krzykliwej propagandy postulujemy uczciwą pracę. Tylko w ten sposób będziemy mogli zyskać sobie zwolenników. Jesteśmy także inicjatorami naszego zakładowego Komitetu Ocalenia Narodowego. Komitet będzie plaszczyzną swobodnej wymiany myśli, poglądów niezależnie od przynależności związkowej czy partyjnej. Każdy członek załogi będzie się mógł swobodnie wypowiedzieć o tym, co go boli. Będzie to, mam nadzieję, ogniwem integrującym załogę z przedsiębiorstwem. Komitet Ocalenia Narodowego stanie się zarazem organem współzarządzającym przedsiębiorstwem. Chodzi o to, że trzeba śledzić reformę, kontrolować. Zdajemy sobie sprawę, że samocządy za jakiś czas zostaną powołane na nowo i już teraz przygotowujemy się i uczymy trudnej sztuki współzarządzania. Przyszli działacze samorządowi muszą mieć możliwość śledzenia reformy, procesu wcielania jej w życie. Komitet stawia sobie za cel upowszechnianie zasad reformy, szerzenie oświaty ekonomicznej. Chcemy, by każdy pracownik orientował się w zasadach, na jakich działa zakład pracy, by jasno widział związek własnej pracy z efektami i co za tym idzie — własnymi zarobkami.

● Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
JACEK BROSZKIEWICZ



Prof. Krzysztof Broszkiewicz

Mówi się w Lubinie nie najlepiej o górniczej służbie zdrowia, lecz służba miejska ma wręcz fatalną opinię. Chory, który miał szczęście i w czasie ostrego dyżuru trafił do „górników”, dowiedziawszy się po paru dniach że ma być przeniesiony do szpitala miejskiego, jest gotów na wszystko: odgrzebuje kontakty i znajomości, szuka protekcji, próbuje oferować krociowe łapówki — byle tylko zostać. Niestety, te rozpaczliwe zabiegi, podbudowane głęboką wiarą, że „wszystko ma swoją cenę”, z reguły kończą się fiaskiem. Podział kompetencji jest wyraźny — z usług górniczej służby zdrowia mogą korzystać tylko pracownicy przemysłu miedziowego. O odstępie od tej żelaznej zasady decyduje jedynie stan zdrowia i złożoność przypadku. Ale to są wyjątki. Cała reszta, prędzej, czy później, kończy leczniczą kurację w szpitalu przy ulicy Władysława Łokietka. Szpital ten, jego pacjenci, nazywają... umieralnią...

Z kilkoma rozmawiałem: są wdzięczni, że przywrócono im zdrowie, ale nie chcieliby tam trafić po raz drugi... Rozmawiałem z dyrektorką lubińskiej Stacji Sanepid. Powiedziała wprost: „gdyby to ode mnie zależało, szpital przy Łokietka kazalbym natychmiast zamknąć. Techniczny i sanitarny stan obiektu uraga wszelkim przepisom i zasadom”.

Ale takiej decyzji nikt nie odważy się podjąć. Lubiniski Zespół Opieki Zdrowotnej dysponuje łącznie 548 łózkami szpitalnymi, zaś musi nieść pomoc blisko 140 tysiącom ludzi. Już tylko te dane biorąc pod uwagę jest to pomoc iluzoryczna. Po skróceniu z ewidencji 147 łóżek (tyle miejsc liczy szpital przy Łokietka) szpitalnictwo w Lubinie byłoby tylko fikcją...

Niektórzy pracownicy ZOZ, usiłując bronić pozycji własnej firmy, używali argumentu: „w porównaniu np. z Legnicą u nas warunki są luksusowe...” Bardzo przepraszam, ale pachnie mi to życiową filozofią Ali z I b. Gdybyśmy tę zasadę przykładali do wszystkiego, to w porównaniu np. z Kampuczą znaleźlibyśmy się już dziś na szczycie listy największych potęg gospodarczych świata.

Szpital przy Łokietka nie miał być szpitalem. Miał to być typowy hotel pracowniczy z szeregiem mikroskopijskich pokoi i jedną łazienką przypadającą na połowę piętra. Nie znalazły się w projekcie ani pomieszczenia gospodarcze, ani krany z ciepłą wodą w pokojach mieszkalnych, nie planowano wybudowania windy, ni wygodnych ciągów komunikacyjnych — w hotelu nie było to potrzebne. Gwałtownie rosnące potrzeby lecznicze, burzliwie rozwijającego się miasta, zmusiły władze do poszukiwania rozwiązań doraźnych, awaryjnych — hotel postanowiono zaadaptować na szpital. Od tamtego czasu minęły lata.

W tzw. międzyczasie, po reorganizacji podziału administracyjnego kraju, upadł ostatecznie projekt budowy, na obecnym osiedlu Przylesie, nowego 1000-łóżkowego szpitala. Za to w szpital przy Łokietka pompowano wciąż nowe miliony — na kolejne przeróbki i modernizacje. I proces ten zdawał się nie mieć końca.

Inspektorom Sanepidu opadają ręce. Chorzy mają znikomy dostęp do ciepłej wody (w salach jest tylko zimna) jedna z byłych pacjentek powiedziała mi, że chcąc wziąć kąpiel musiała wstawać o piątej rano, łamiąc zresztą tym samym szpitalny regulamin, małe światełko z telewizorem służy do wszystkiego, niepalący wędzą się w tytoniowym dymie, w czasie odwiedzin zdrowi i chorzy tłoczą się na korytarzach, utrzymanie higieny jest w tych warunkach rzeczą zupełnie nierealną, szpital nie ma kuchni, posiłki dowozi się samochodem w termosach, mimo to prawie zawsze są zimne, izba przyjęć — nie tylko załamać ręce, jedyną windą wozi się wszystko: chorych, leki, posiłki, nieczystości i zwłoki, karaluchy są wszechobecne...

Inspektorzy patrzą na sprawę obiektywnie: personelowi szpitala trzeba się pokłonić nisko, czapka do ziemi. Personel robi wszystko co w ludzkiej mocy i dzięki temu cały ten majdan jakoś się jeszcze kręci. Ale personel nie zmienia warunków. Jest więc tylko jedno wyjście — zamknąć. Ale każda kompetentna osoba prędzej poda się do dymisji niż podejmie taką decyzję.

Szpital przy ul. Bema oddano do użytku sześć lat temu. Oficjalnie był bardzo nowoczesny, bardzo funkcjonalny, miał zaspościć potrzeby. Jego budowniczości dostali nagrody. Prawda była brutalna: przestarzały projekt, rzeczywistość lokalowa daleka od potrzeb i skandaliczne wykonanie.

Dyrektor techniczny ZOZ, inżynier z wieloletnią praktyką w przemyśle, oceniając obecny stan techniczny obiektów szpitalnych oświadczył: potrzeba najmniej dwóch lat, kilku firm remontowych i dużo, bardzo dużo pieniędzy, żeby naprawić przeciekające dachy, uszczelnić drzwi i okna, doprowadzić do stanu pełnej sprawności wszystkie podstawowe instalacje.

ZDROWIA NASZEGO POWSZEDNIEGO.

W nowym szpitalu nie pokryto dachu papą, w piwnicach stała woda. Nigdy nie uruchomiono urządzeń klimatyzacyjnych, dziś nadają się one już tylko na złom. Wadliwie funkcjonuje sieć centralnego ogrzewania, a kotłownia (w obu szpitalach) rozpadają się ze starości. Odpadające ze ścian płytki glazurowane i tynki, dziury w posadzkach i szpary w ścianach są w tym przypadku mało istotnym drobiazgiem.

Pierwszy, ogólny, wniosek dyrektora: Zaniedbania sięgają dziesięciu lat!

Wniosek drugi, szczegółowy: W ZOZ-ie nikt i nigdy nie przykładł wagi do niezwykle ważnej roli służb technicznych. Efekty widać.

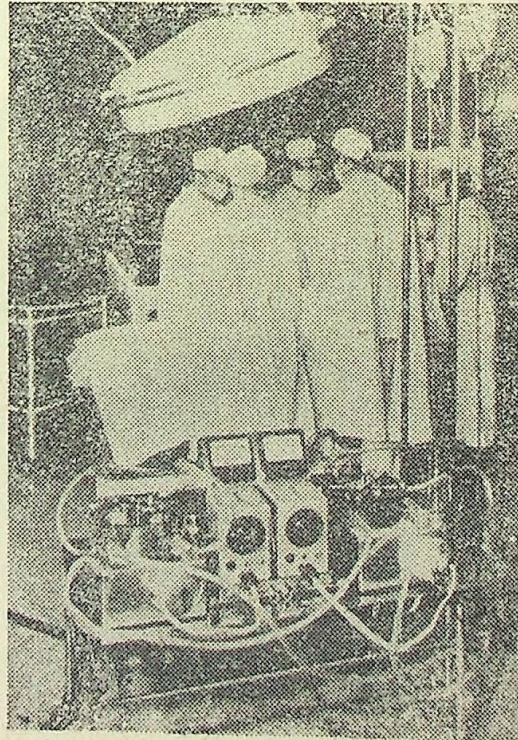
Dyrektor jest tu od czerwca ubiegłego roku. Może mówić bez żenady — on nie musi się wstydić.

W nowy szpital wtłoczono 400 łóżek. Powstał konglomerat na skalę wyjątkową — od chirurgii poprzez reumatologię, ginekologię i położnictwo do pediatrii. Zrobiono to nie od razu. Co jakiś czas zmieniały się koncepcje i co jakiś czas odbywał się szpitalny exodus. Sanepid protestował od początku przeciwko umieszczaniu w tej uniwersalnej lecznicy oddziału położniczo-ginekologicznego, ponieważ utrzymanie odpowiednich warunków sanitarno-higienicznych było wysoce problematyczne. Dziś oddział ten jest zamknięty. I do dziś, nie udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość przyczyn bardzo wysokiej śmiertelności noworodków.

W nowy szpital wtłoczono 400 łóżek, więc: • zaanektowano większość pomieszczeń socjalnych i gospodarczych na sale dla chorych i gabinety • podręczne składziki i pakamery przeniesiono na balkony, pogarszając warunki bytowania chorych • personel niższy zaczął jadać śniadania w tzw. brudniakach, gdzie trzyma się brudną bieliznę i wszelkie śmiecie.

Nigdy nie było ciepłej wody. To znaczy bywała, głównie w nocy. Ale to tak, jakby nie było jej wcale.

Proszę sobie wyobrazić funkcjonowanie sal operacyjnych — bez wody, oddziału pediatricznego — bez wody, położnictwa — bez wody i w ogóle szpitala — bez wody. Przez 6 lat!



Od kilkunastu dni woda jest — dzięki interwencji dyrektora Sanepid u komisarza woj.owego Lubina...

Sanepid, mimo bardzo szerokich uprawnień, prawie zawsze był zupełnie bezradny. Ledwie wdrożono postępowanie w stosunku do dyrektora ZOZ i próbowano cokolwiek wyegzekwować — następowała zmiana na dyrektorskim fotelu. I trzeba było zaczynać od początku. Od roku 1973, a więc od momentu utworzenia Zespołów Opieki Zdrowotnej, zmieniło się w Lubinie 14 dyrektorów (naczelników, technicznych i d/s lecznictwa). Statystyczny okres urzędowania — siedem miesięcy. Co można zrobić w czasie siedmiu miesięcy? Dlaczego władze miasta tolerowały tak częste zmiany?

W ZOZ-ie mówią, że jest rzeczą niedopuszczalną, jeśli patrzy się na życie realnie, by dyrektorem Zespołu Opieki Zdrowotnej był lekarz. Bo po pierwsze — nie zna się zupełnie na sprawach organizacyjno-technicznych i zarządzaniu, a po drugie — zawsze jest mu bliższa praktyka lekarska i jej właśnie poświęca najwięcej uwagi. I trudno się dziwić. Mimo to każdy następny dyrektor był lekarzem — ostatni także. W ZOZ-ie mówią też, że duża część zła wzięła się właśnie z tych zmian. Każdy nowy szef próbował forsować, nie bez zgody wojewódzkich władz medycznych, własną koncepcję modelu miejskiej służby zdrowia. Zmieniał się szefowie i zmieniali się koncepcje — w każdą z nich tłoczono pieniądze.

Ale nie jest to jedyny powód fatalnego stanu bazy leczniczej w tym mieście. Jeszcze więcej zła spowodowały ambicje — indywidualne — działaczy gospodarczych i politycznych. Dziś, można by spytać: dlaczego rozpoczęto budowę stadionu — giganta, który prawdopodobnie nigdy nie zostanie oddany do użytku, a jeśli już, to po wielu, wielu latach, zamiast zainwestować te pieniądze w nowy szpital. Dlaczego na trasie szybkiego ruchu z Lubina do Polkowic ustawiono tysiące latarni — za ciężkie miliony — które nie tylko nigdy nie oświetlały tej drogi, ale są często przyczyną wypadków. Przecież można było postawić szpital...

Jednak mimo woluntaryzmu władz, mimo krótkowzroczności polityki rozwoju bazy medycznej, mimo ciągłych zmian planów, udało się w Lubinie zorganizować kilka unikalnych w skali kraju przychodni i oddziałów specjalistycznych, a nazwiska takich lekarzy jak doc. Jandą (nieżyjący już twórca lubińskiej hematologii), doc. Bielawski, dr Krzemiński są otoczone powszechnym szacunkiem. Ale w tej pasji tworzenia więcej było osobistego zaangażowania, wyrzeczeń, ambicji i walki z przeciwnościami, częsta walka samotnej, niż wyważonej i przemyślanej polityki władz. Niestety dziś, kiedy potrzebowały funkcjonujące latami prowizoria, nad lubińskim szpitalnictwem zawisła wizja ograniczenia usług medycznych w lecznictwie zamkniętym do interny, chirurgii i pediatrii. Nowy dyrektor ds. lecznictwa, który piastuje swój urząd od kilku miesięcy, który opracował własną koncepcję, zmierzającą do rozwiązań optymalnych w istniejących warunkach i nie wymagającą wielkich nakładów, jak na razie, nie ma możliwości skupić się na jej realizacji — przyszedł w momencie spiętrzenia się, od lat narastających problemów, działa na zasadzie straży pożarnej: gasi wybuchające pożary.

Zamknięto już oddział reumatologiczny, unieruchomiono położnictwo i ginekologię, a w pierwszych dniach marca widmo likwidacji zawisło nad poradnią hematologiczną, jedną z niewielu w Polsce, kierowaną przez dra Krzemińskiego.

Porańia przyjmowała rocznie około pięciu tysięcy ludzi cierpiących na choroby krwi. Przyjeżdżali z całego Dolnego Śląska. Dr. Krzemiński cieszył się opinią znakomitego lekarza i wspaniałego człowieka. Wieść o jego dymisji była gromem z jasnego nieba.

Mówiłem z nimi: mieliśmy Izy w oczach. Ale to już zupełnie inna historia...

CDN

JANUSZ DOBRZAŃSKI

Jaka jest żywność produkowana na polach otaczających huty miedzi? Czy nadaje się do spożycia? Czy nie przeczyć i tym sposobem udawać, że problemu nie ma. Ponieważ chcemy raz na zawsze skończyć z takimi obyczajami, w prasie nie mogą być nieobecne najważniejsze pytania jej czytelników. Tym bardziej, że skuteczniejszej ochrony zdrowia i naturalnego środowiska człowieka domaga się uchwała IX Zjazdu PZPR. Tym bardziej, że

O ŻYWNOŚCI - TROCHĘ FAKTÓW I OPINII

Obserwowałem kilka dyskusji przedstawicieli KGHM ze specjalistami reprezentującymi władzę państwową. Zawsze, gdy szło o stan żywności, było gorąco. Znak to, że sprawy kaszły już dawno. Nikt nikogo nie przekonał, chociaż problem został dawno nazwany i zarysowany. To dziwne, ale ludzie parający się w woj. legnickim ochroną środowiska przynajmniej od kilkunastu lat wiedzą co zrobić, żeby osiągnąć obiektywne dane, umożliwiające wyciągnięcie obiektywnych wniosków. Ciągłe okazuje się, że badania mamy wycinkowe, niesystematyczne, uzyskane w zbyt krótkim przedziale czasu. Czyli, ciągłe feruje się sądy obwarowane licznymi zastrzeżeniami. KGHM — jest do brzo, choć występują objawy niepokojące. Władze — jest źle, lecz nie wiadomo dokładnie jak bardzo.

Nic więc dziwnego, że powstał grunt dla plotek. Z drugiej strony sprawę gmatwają niektóre publikacje prasowe, jak np. artykuł z „Nowej Miedzi” pt. „Czy spożywamy trującą żywność?” daleki w swej wymowie od obiektywizmu.

Skoło nie mogą się dogadać i wyciągnąć wspólnych wniosków fachowcy, to trudno się dziwić dziennikarzom, skazanym w końcu na sugestie swoich rozmówców. Jak się okazuje, dochodzenie prawdy o stanie żywności produkowanej w Legnickim nie jest łatwe dla nikogo...

JAK MIERZYĆ?

Chociaż opracowałem odpowiednich do rangi problemu brak, nie oznacza to, że mamy do czynienia z naukowym ugiem. Z dostępnych mi prac przewertowałem dwie, moim zdaniem najbardziej przydatne. Pierwsza, to résumé z badań przeprowadzonych w LGOM w latach 1976—77, opracowane przez dra Henryka Witkowskiego z Państwowej Wojewódzkiej Inspekcji Sanitarnej we Wrocławiu. Druga — wyniki badań przeprowadzanych w ub. roku przez Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną w Legnicy.

Wiadomo, że zagrożenie dla zdrowia ludzkiego wynika z kumulowania się w żywności, produktach rolniczych nadmiernych ilości metali ciężkich, wydostających się wraz z pyłem z hutniczych pieców i osiadających na polach. Chodzi tu przede wszystkim o ołów, kadm, miedź, cynk, a także rtęć, arsen i wiele innych metali. Największe zagrożenie dla zdrowia stwarzają, wg WHO/FAO dwa pierwsze, czyli ołów i kadm. Stwierdzenie jednak, że w kilogramie ziemniaków czy litrze mleka wykryto tyle a tyle miligramów danego metalu jeszcze nie nie mówi. Chodzi o wyznaczenie granicy, której przekroczenie jest szkodliwe, niebezpieczne, niedopuszczalne. I tu zastajemy paradoks.

Ołów w Polsce obowiązuje jedynie zarządzenie ministra zdrowia i opieki społecznej z 1971 roku dotyczące dopuszczalnych zanieczyszczeń metalami ciężkimi, ale tylko przetworów produktów spożywczych, czyli przetworów warzywnych, mięsnych, owocowych itd. Natomiast brak jest takich norm w odniesieniu do produktów rolnych — „surowych”. W tej sytuacji instytucje badające np. stężenie ołowiu w ziemniakach porównują konkretny przypadek z danymi, które Państwowy Zakład Higieny otrzymał w innych rejonach kraju i które umownie uważa się za średnią krajową. Brak urzędowych norm zanieczyszczeń produktów rolnych metalami ciężkimi uniemożliwia wręcz skuteczną działalność „ochroniarzy” działających w interesie całego społeczeństwa, a wspomaga i tak już silną pozycję np. przemysłu.

W tym miejscu para usprawiedliwić moją napaść na artykuł „Nowej Miedzi”. Otóż świadomie lub nie autor rozciągnął normy zanieczyszczeń przetworów spożywczych na produkty rolne. To zaś zmienia całkowicie obraz sytuacji i prowadzi do zafałszowań. Istnieje np. jeden wyjątek: norma „mleko surowe do skupu”. Wg autora z „Nowej Miedzi” może ono zawierać do 0,4 mg/l ołowiu.

Pisze więc, że w badanych 69 przypadkach „zawartość ołowiu utrzymywała się we wszystkich próbach poniżej normy (0,00—0,285)”. Tymczasem norma „skupowa” dopuszczalnej zawartości tego metalu wynosi 0,15 mg/l...

Wracając do tematu, trzeba powiedzieć, że posługiwanie się porównaniami z danymi PHZ nie jest mocnym orężem, chociaż w praktyce wyciągane są daleko idące wnioski.

CO NAPISAŁ DOKTOR WITKOWSKI?

Zasadnicze jego stwierdzenie: „Przeprowadzone dwuletnie badania skażenia ołowiu, cyną, cynkiem i kadmem produktów pochodzenia zwierzęcego i roślinnego wykazały w zasadzie podwyższone ich ilości w porównaniu z badaniami prowadzonymi przez PZH produktów rynkowych”. W konkretnych przypadkach przekroczenia są nawet bardzo wysokie. Np. zawartość ołowiu w mleku na terenie LGOM 7—7,5-krotnie, w jajach — 50-krotnie, w pomidorach (Głogów) 13-krotnie, w jabłkach (LGOM) 18-krotnie, zaś w Legnicy 26-krotnie. Także kadm w jajach (LGOM) 10-krotnie.

„Stwierdzono również — pisze dr Witkowski — przekroczenia, które mogą już wskazywać na działania szkodliwe i nie odpowiadające krajowym przepisom o jakości zdrowotnej. Np. miedź w jajach powyżej 1,0 mg/kg w 10 proc. zbędnych prób dla Legnicy. Cynk w mleku powyżej 5,0 mg/l w 19 proc. prób dla Głogowa i Legnicy. Cynk w jajach powyżej 5,0 mg/kg w 100 proc. prób dla Głogowa i 98 proc. dla Legnicy. Kadm w jajach powyżej 0,07 mg/kg w 13 proc. prób dla Legnicy. Kadm w ziemniakach powyżej 0,07 mg/kg w 12 proc. prób dla Głogowa”.

Ciekawe wyniki można otrzymać po skonfrontowaniu wyników badań przeprowadzonych w LGOM z wynikami z ośrodków zagranicznych. Przytoczmy w całości fragment poświęcony mleku.

„Ołów — wyniki średnie dla LGOM są w zasadzie wyższe niż podawane w piśmiennictwie (tzn. w badaniach zagranicznych — przyp. aut.), natomiast są niższe niż wynika to z badań przeprowadzonych w okręgu przemysłowym z okolic Dortmundu, średnio ok. dwa razy. Stwierdzone jednak maksymalne ilości są wyższe niż maksymalne z okolic Dortmundu.

Miedź — (...) Tak średnie jak maksymalne ilości dla LGOM przekraczają ilości stwierdzone normalnie.

Cynk — ilości stwierdzone w LGOM są wyższe niż podaje piśmiennictwo, są jednak niższe niż w okolicach hut zlokalizowanych w okręgu Dortmundu, maksymalne ilości w LGOM przekraczają ilości maksymalne tam stwierdzone.

Kadm — w LGOM stwierdzone ilości są wyższe niż podaje piśmiennictwo, niższe jednak niż w okręgu Dortmundu”.

W wypadku innych produktów bardzo często ilości metali stwierdzanych u nas są znacznie niższe niż w porównywalnych ośrodkach przemysłowych. Autor formułuje więc dwa wnioski. Po pierwsze, skażenie żywności na terenie LGOM jest „wyższe niż

na terenach nieuprzemysłowionych tak w kraju jak i za granicą” oraz „niższe niż podaje piśmiennictwo obce z terenów oddziaływania tamtejszych hut miedzi z tym, że w LGOM przekroczenia maksymalne są wyższe niż tam stwierdzono”.

Wśród uwag końcowych moim zdaniem najbardziej wymowna jest ta, że „zebrane w niniejszym opracowaniu dane dają podstawę do podjęcia działalności administracyjnej mającej na celu niedopuszczenie do wprowadzania do obrotu nadmiernie skażonej żywności”.

Działania te zostały w Legnickim podjęte. Przede wszystkim trwają przygotowania do prawnego określenia stref ochronnych hut, czyli obszarów, na których nie powinna być prowadzona żadna produkcja żywności. Nie czekając na ich finał wojewoda wydał na początku ub. roku zarządzenie „w sprawie ograniczania skutków szkodliwego oddziaływania na środowisko Huty Miedzi „Legnica”. W rejonie A (grunty wsi Białka, Pawłowice i wokół huty — dop. aut.) należy wyeliminować wszelką produkcję roślinną i zwierzęcą”. Zaś w rejonie B, czyli bardziej oddalonym od źródła emisji „ograniczyć produkcję roślinną wyłącznie do produkcji zbóż nasion traw i nasion niektórych gatunków roślin motylkowych”. A także „ograniczyć produkcję roślin okopowych”.

Kolejnym posunięciem było znaczne zaostrożenie kryteriów opiniowania lokalizacji pracowniczych ogródków działkowych. Ponieważ połowa legnickich POD znajduje się na terenie przyszłej strefy ochronnej, a ustawa o ochronie środowiska wyklucza taką sytuację, działkowicze będą się musieli przenieść poza teren oddziaływania huty — czyli poza Legnicę.

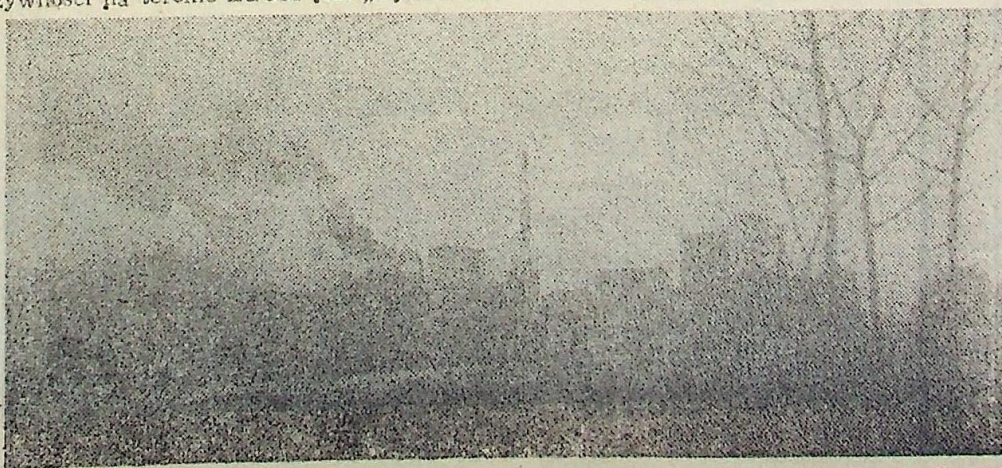
Potwierdzeniem obaw i sugestii dra Witkowskiego są wyniki badań wykonywanych przez Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną.

JAK BYŁO W ROKU 1981?

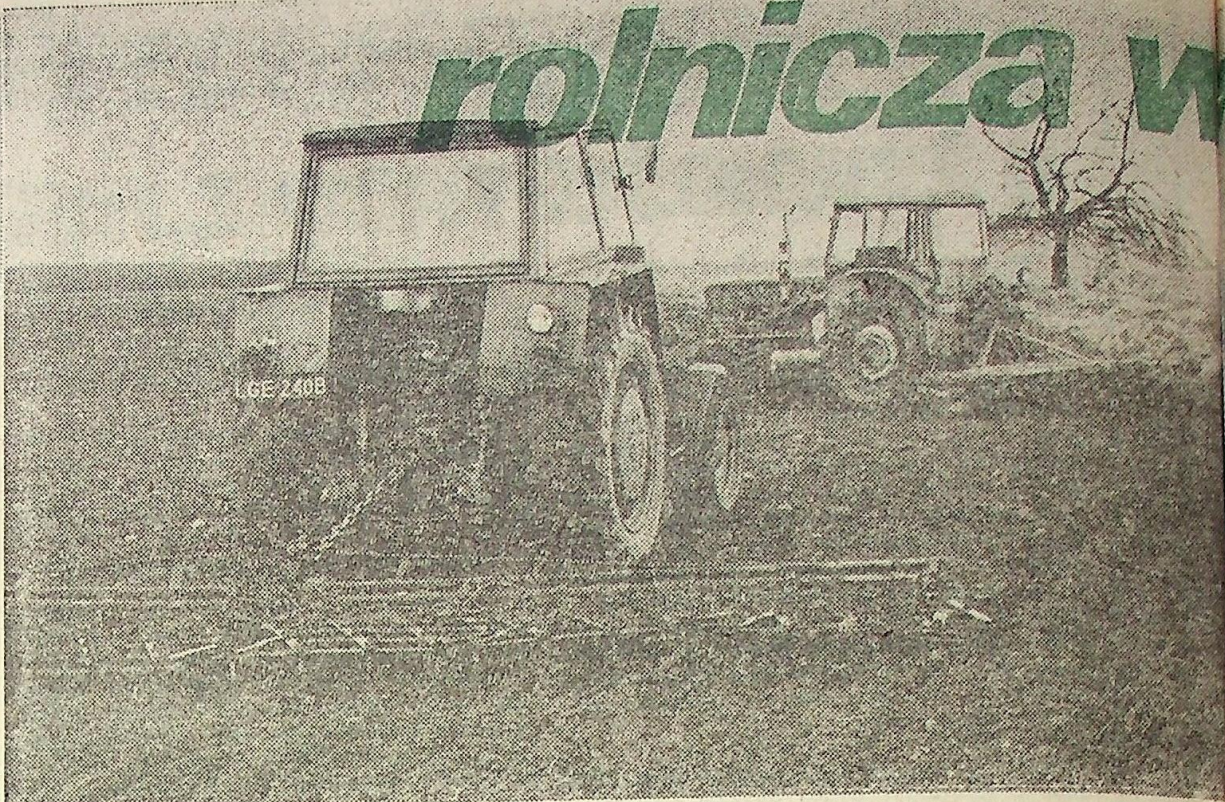
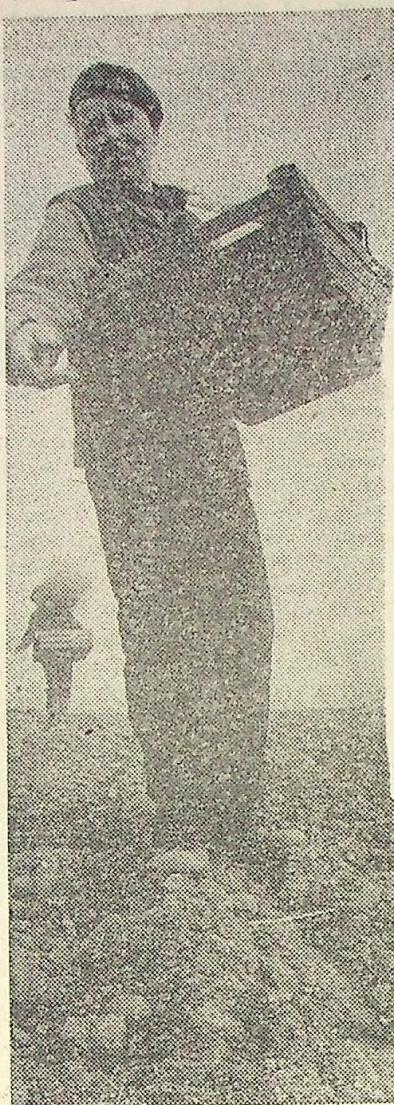
Ostatnie badania WSSE przeprowadzono właśnie w ub. roku. Jeżeli chodzi o środki żywności, których dopuszczalne skażenie określa norma z 1971 roku, to „mimo że większość wyników znajduje się w granicach podanych w zarządzeniu, WSSE w Legnicy wyraża zaniepokojenie z powodu bardzo dużych zawartości metali w poszczególnych próbach”. Natomiast w przypadku produktów rolniczych, dla których, przypomnę urzędowej normy brak, „w porównaniu do znanych nam wyników z innych regionów kraju — pisze WSSE — wyniki badań produktów z naszego województwa są bardzo wysokie i świadczą bardzo źle o jakości zdrowotnej otrzymywanej tutaj żywności”.

Wysokie przekroczenia średnich zawartości ołowiu notuje się w mleku (4—10-krotnie, maksymalne 36-krotnie w Smokowicach i Przybkowie), ziemniakach (np. w Smokowicach 10 razy). Znaczne ilości ołowiu znajdują się w zbożach z Przybkowa. To samo dotyczy skażenia warzyw, szczególnie szczyptorku, pietruszki i kopru.

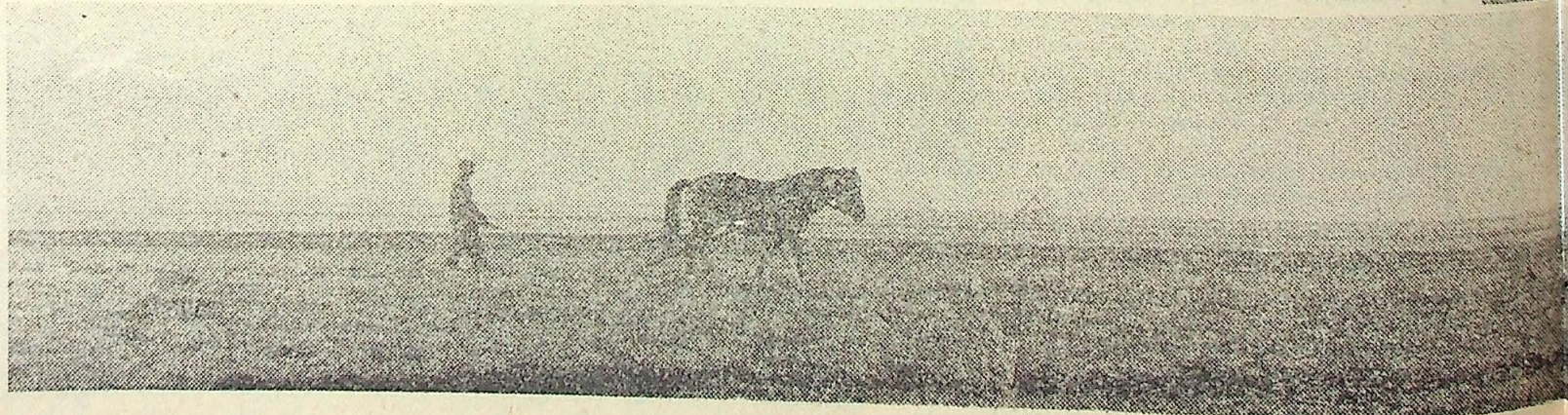
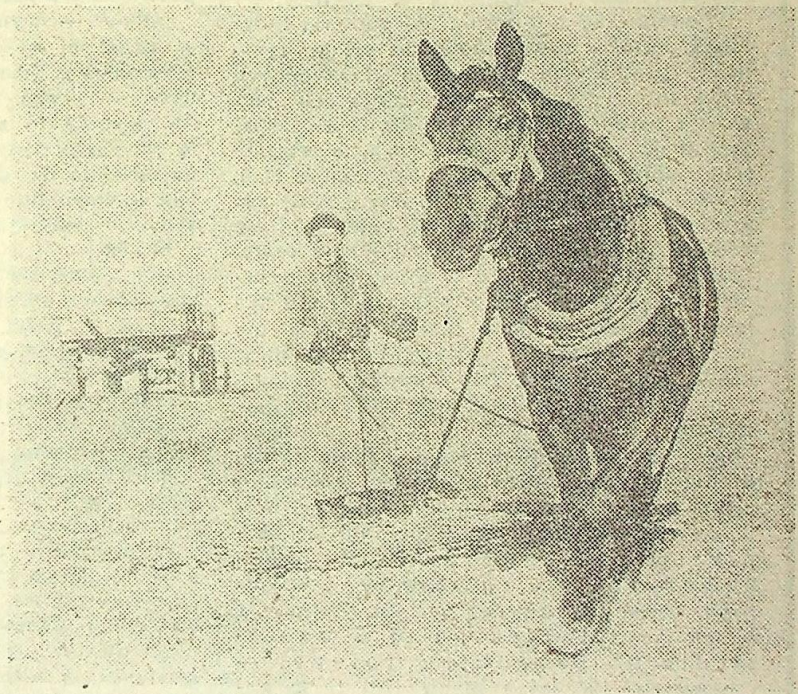
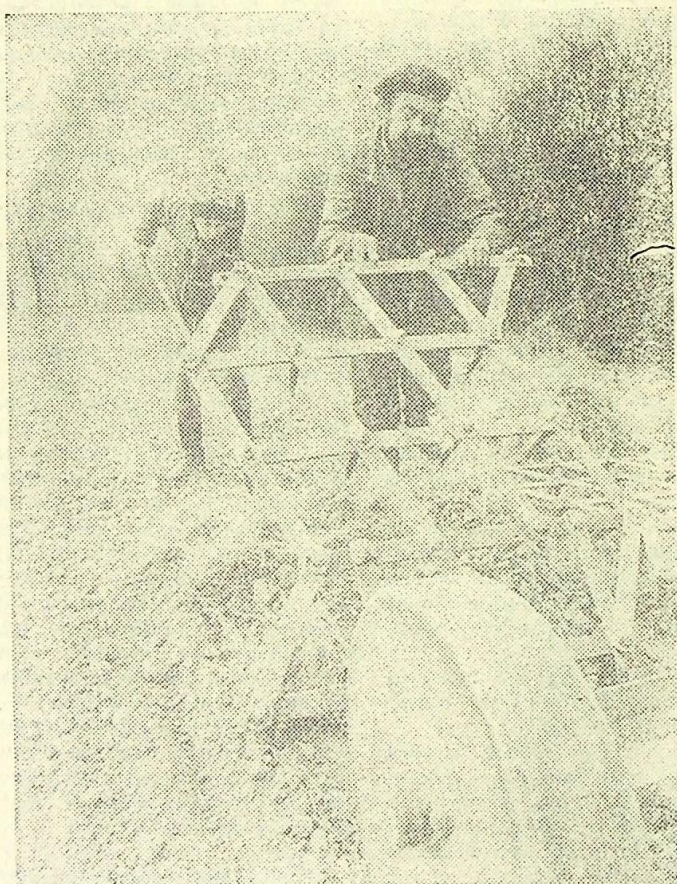
(Dokończenie na str. 10)



Fot. Krzysztof Maczkowski



Zdjęcia:
KRZYSZTOF
RACZKOWIAK



BUMERANG

Koń, kiedy chce ugryźć, wpięć kuli uszy i szerzy zęby. Pies ostrzega warczeniem i dopiero potem usiłuje złapać za nogawkę. Tylko tresowane wilczury atakują bez ostrzeżenia. W menażerii fenomenem jest mrówkojad. Ukłuty odwraca się po pięć minutach w kierunku źródła bólu... Rozgłoszenie zachodnie nadające w języku polskim wybrały metodę pośrednią. Coś z rozwścieżonego psa i coś z obezwładniającego jadu żmiji.

W strategii wojny propagandowej prowadzonej obecnie przeciwko Polsce przez Zachód istniało i istnieje staranne rozpisanie zadań oraz rozłożenie akcentów radiowych informacji i dezinformacji skierowanych do poszczególnych środowisk. Zgodnie z wszelkimi wymogami kampanii politycznych prowadzonych w ostatnich kilkudziesięciu latach za pomocą fal radiowych, wzbogaconych najnowszymi osiągnięciami nauk społecznych, które mają na swoim warsztacie propagandową penetrację w krajach socjalistycznych.

W ostatnich latach rozgłoszenie zachodnie włożyło wiele wysiłku w podważenie zaufania społeczeństwa polskiego do wszystkich form, środków i metod stosowanych w naszym radiu, prasie i telewizji. Przypisać trzeba, że działało się to przy naszym pełnym przyzwoleniu i nie bez winy, jeśli chodzi o kwestię wiarygodności i sprawności propagandy. W sytuacji totalnego podważenia zaufania do krajowych środków masowego przekazu powstało znane w psychologii zjawisko syndromu niewiarygodności i nie zapełnionej luki informacyjnej.

Powstała sytuacja społeczna, w której oficjalne kanały informacyjne władzy i partii politycznych przestały być drożne, zaś wobec rozpasania propagandy zewnętrznych i wewnętrznych przeciwników politycznych nawet najwspanialsze informacje oraz opinie odbijały się niczym groch o ścianę. Przebicie tej skorupy nieufności, przetarcie kanałów informacji i cyrkulacji opinii między władzą i społeczeństwem jest obecnie kwestią gardłową. Stąd trzeba odrzucić podsuwane propozycje lekceważenia radiowego przeciwnika politycznego z Zachodu. Zrodziła się pilna potrzeba stworzenia w naszym systemie propagandy grup i zespołów, które zgodnie ze stanem wiedzy społecznej potrafią za pomocą naszych środków przekazu odsłaniać i rozszyfrowywać mechanizmy wrogiej indoktrynacji.

Wspominałem już o specjalizacji tej propagandy wobec określonych środowisk. Należy to uzupełnić informacją, iż nacelowanie radiowej dywersji, inspirowanej i kierowanej z jednego centralnego ośrodka dyspozycji, dotyczy przede wszystkim określonych grup, zagadnień i tematów, istotnych dla naszego społeczeństwa.

W podziale zadań między poszczególnymi zachodnimi rozgłoszającymi w języku polskim najsilniejszą specjalizację wiejską ma Radio Wolna Europa. Wynika to z zasobów kadrowych, bowiem tematyką tą kieruje niegdysiejszy dziennikarz ekipy Stanisława Mikołajczyka w czasie jego pobytu po wojnie w kraju — Michał Lasota. Nie będę tutaj omawiał całej koncepcji „włnoeuropejskiego” oddziaływania na naszych rolników. Gdyby jednak urządzić obojętnie w którymś krajowym środowisku, ankieta, uwzględniającą gradację najistotniejszych w ostatnich latach i obecnie trudności rynkowych, idę o każdy zakład, że bezapelacyjnie pierwsze miejsce zajęłaby kwestia chronniczego deficytu mięsa. I niby odpowiada to prawdzie. Kiedy w połowie lat 70 nie było tłoku w sklepach mięsnych, a spożycie zbliżało się rzeczywiście do poziomu najbogatszych krajów świata, pisanie o wysokim poziomie tego spożycia wywoływało w najlepszym przypadku złośliwe uwagi, jeśli nie wręcz kpiny. Przez wiele lat rozgłoszenia RWE z Monachium lansowała bowiem tezę o wciąż nie zaspokojonym pokryciu potrzeb społecznych w kraju.

Instytut Żywności i Żywności sporządzając przed kilku laty porównawcze zestawienie (z ostatnich kilkunastu lat) struktur budżetów rodzinnych, w odniesieniu do różnych grup zawodowych i społecznych, stwierdził przedziwne zjawisko. Mianowicie stały wzrost wydatków na mięso i jego przetwory. Odwrotnie aniżeli dzieje się to w krajach zamożnych gdzie po osiągnięciu pewnego poziomu spożycia mięsa o standardzie żywnościowym decyduje różnorodność menu. Zatem w odczuciach społecznych każde zachwianie wskaźnika dostępności mięsa było pierwszym sygnałem wzrostu frustracji, niepokojów i napięć społecznych. Nie zatem dziwnego, że jakiegokolwiek podwyżki cen na artykuły mięsne były uważane niemal za zamach na suwerenność obywatelską.

Analiza sporządzona za ostatnie lata, jeśli chodzi o treść audycji rolnych RWE, po-

kazuje jednoznacznie trend baczności pilnowania sytuacji mięsnej w kraju i rozbudowywania, ba! wręcz wywoływania urojonych i rzeczywistych trudności. Wzorowano się w tym względzie nawet na niedalekich przykładach totalnej propagandy dra Josepha Goebbelsa. Proszę nie wzruszać ramionami. Był to dobry mistrz czarnej propagandy. W czasie II wojny światowej Amerykanie i Anglicy natychmiast adaptowali doświadczenia tej propagandy na własny użytek, a po wojnie wyspecjalizowane ośrodki naukowe na Zachodzie w swoich pracach badawczych przyjęły goebbelsowską doktrynę wojny propagandowej za podstawę i punkt wyjścia. Najlepiej metody przechwytywania argumentów propagandowej dywersji przyswajali w czasie wojny od Niemców Anglicy. W rządowej rozgłoszającej BBC powołano w tym celu specjalną komórkę, którą prowadził długoletni korespondent angielskiej prasy w Niemczech Self Dalmar. Opowiem tylko o jednym z jego posunięć propagandowych. Już w czasie wojny, kiedy Niemcy odczuwały trudności ekonomiczne, pojawiły się z intensywnym natężeniem informacje rzekomo pochodzące z wiarygodnych źródeł z NSDAP i SS, iż w Hamburgu żony dostojników hitlerowskich wykupują pończochy i ciepłą bieliznę, bowiem ma ich zabraknąć. I chociaż tego artykułu nie brakowało w hitlerowskim handlu, już po kilku dniach w całych Niemczech rozpoczął się szturm kobiet do sklepów tekstylnych. Idąc tym wątkiem proszę tylko zwrócić uwagę na odczytywane w RWE rzekomo pojawiające się w kraju instrukcje o ruchu oporu. W kilka dni po emitowaniu takich instrukcji rzeczywistość pojawia się one w kraju... Identyfikacyjny scenariusz był wielokrotnie stosowany do wywoływania napięć na rynku mięsnym. Ba, ale kto chciał wówczas słuchać o takich podpowiadaczach?!

W strategii wojny propagandowej zagadnienie żywności i jej produkcji jest jedną z najważniejszych spraw. Stąd bierze się tak staranne w metodach długofalowe nacelowanie zachodnich rozgłoszeń na polskie rolnictwo, a raczej na opisywanie, wyolbrzymianie i reinterpretowanie trudności tej dziedziny gospodarki.

Niekiedy jednak zawodzą najlepsze naukowe metody i staranna reżyseria. Świadczy o tym los sankcji ekonomicznych zwłaszcza żywnościowych, zastosowanych przeciwko Polsce przez kraje zachodnie z inspiracji prezydenta Reagana. Mimo rozpaczliwej argumentacji, że wstrzymanie dostaw zboża i systemu kredytowego na zakup żywności jest działaniem wymierzonym w obecną władzę w Polsce, staranna analiza materiałów służb wywiadowczych, nastrojów ludności w kraju i zabarwienia informacyjno-publicystycznego w naszych środkach masowego przekazu dowodzi, że restrykcje te zostały przyjęte przez ogół społeczeństwa jako godzące w jego elementarny status bytowy.

Mnożą się sygnały nawet w oficjalnych amerykańskich środkach przekazu o nieoczekiwanym wywołaniu tą sprawą znanego w propagandzie efektu bumerangowego. Polega on z grubsza mówiąc — w odniesieniu do tej sprawy — na wywołaniu reakcji obronnych, integrujących społeczeństwo na zasadzie podrażnionej ambicji. W efekcie wyzwala to zgola nowe motywacje do uzyskania żywnościowej samodzielności. A przecież nie o integrację społeczeństwa polskiego Reaganowi chodziło...

Pośrednim efektem wspomnianego bumerangowego odbicia skutków amerykańskiej decyzji i stanowiska jest według analiz taktyków wojny propagandowej wzrastająca w kraju obiekcja i wręcz niechęć do form caritasowego systemu pomocy żywnościowej realizowanej głównie poprzez paczki. Nie trzeba zresztą znać amerykańskich analiz, aby wiedzieć tu, na miejscu, iż narasta w społeczeństwie przekonanie, że ten tryb „pomocy” uwłacza już nie narodowej, ale zwykłej — tej szarej, ludzkiej godności. No cóż, wojna propagandowa niejedno ma imię...

SZCZEPAN ŁAWNICZAK

„Zjadł na śniadanie
udo baranie
I witych w cieście
Koldunów dwieście
Tak z niestrannością
Doszedł wieczności
I w ciemnym grobie
Spoczywa sobie

Nim wieki zbiega
Tule chrapickiego
Aż głos anioła:
„Wstawaj —
zawola —
Bo już gotowa
Pieczeń wolowa!”

Tak żartobliwie pęknął staropolskie obżarstwo Władysław Syrokomla w swym „Nagrobku obywatelowi”. Obżarstwo i brak pomiarowania Polaków w jadło i napój z upływem stuleci stawały się przysłówkami. Nie bez przyczyny zwykli mawiać — i to już od wczesnego odrodzenia — Francuzi: „Ivre comme un Polonais”. To króciutkie zdanko stało się narodowym przysłowiem francuskim i jest zwykłe używane dla określenia kogoś, kto przebrał miarę w picie. Znaczy po prostu: Pijany, jak Polak... Skłonność do obżarstwa i opilstwa datuje się w Polsce od bardzo dawna.

POLSKIE ZBYTKI

Już w prasłowiańskich czasach upijano się piwem i miodem, które to trunki w pełni zasługują na miano narodowych. Zwłaszcza piwo przypisywano na wiele rozmaitych sposobów. Bywało, że w domach rozpoczynano dzień śniadaniem składającym się z polewki z gotowanego piwa z grzankami lub białym serem. Podobną popularnością cieszył się miód. Był to zwykle napój mocny, łatwo wchodzący w nogi. Początkowo mało pito wina. Osiemnaste stulecie przynosi zmierzch popularności piwa i miodu. Coraz częściej pija się gorzałkę (przeważnie chłopsko) i wino (szlachecko). Z czasem popijać w Polsce zaczęli wszyscy. Sprzyjała temu magnateria i co mniejsze domy szlacheckie, skąd płynął przykład rozrzutności i marnotrawstwa. Ogromne sumy przeznaczano na ucztę, na które zapraszano całe sąsiedztwo. Okazji było sporo. A jeśli już jej zabrakło — stwarzano ją sobie na poczekaniu. Wielka liczba różnorodnych świąt była skrzętnie wykorzystywana przez naszych przodków. Wkrótce też brak umiaru wydał tragiczne żniwo. Mnożyły się przestępstwa. Wielka część narodu usławnie chorowała. Coraz częściej na świat przychodziły dzieci upośledzone. Ludzie przedwcześnie umierali...

„...oczy wygnily, z gęby śmierzdzi piwsko,
w paszczęce kłija pełno, a w czuprynie
gierzo...”

Zaiste, częsty to obrazek naszych protoplastów żyjących w XVIII stuleciu. I czy wypada dociekać jak wyglądałby odpowiedź na pytanie Brillat-Savarina „Powiedz mi, co jadasz (i pijesz) a powiem ci, kim jesteś?... Zostaniesz jednak mimo tak ponurego widoku przy niezbyt długim XVIII wieku. Dwa główne święta w roku, tzn. Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy były szczególnie bucznie obchodzone. Wielkanoc była istnym świętem żarłoków. Żołądki były wygłodzone okresem „wielkiego postu”, którego starano się skrupulatnie przestrzegać. Domownicy musieli przez długi czas zadowalać się okraszoną olejem kaszą, ziemniakami z żurem, kiszoną kapustą i powszechnie kiedyś jadany śledziem. Wyposzczone żołądki i trzeźwe umysły domagały się tradycyjnego zaspokojenia. Z niecierpliwością spoglądano w kierunku kuchennych drzwi, skąd w miarę zbliżania się świąt coraz częściej dolatywały smakowite zapachy. Wyobraźnię podniecały obrazy szynki, pachnących salcesonów, kielbas, mazurków i słynnych staropolskich bab. Mężczyźni zmuszeni byli przeżywać istne katatusze. Nie mieli wszak wstępu do kuchni, gdzie zamknięte na klucz kucharki pod wodzą pani domu przygotowywały świąteczne menu. A roboty było moc. Samych przepisów na mazurki znano ponad setkę. Nie szczędzono też surowca. Zazwyczaj przepis zaczynał się od sakramentalnego: „weź dwie kopy jaj” (120 sztuk)... Osobnym misterium było pieczenie wielkanocnych bab. Makę pszenną ogrzewano i przesiewano przez gęste sito, w donicach kręceno setki żółtek z cukrem, ubijano pianę, z białek, rozpuszczano szafran (który użyczał ciastu pięknego żółtego koloru i zapachu), tłuczono migdały i rozcierano wanilię, parzono i przebiegano rodzynki... Gdy ciasto leżało już w formach nakryte lnianymi obrusami, aby „nie siadło” uszczelniano drzwi i okna chroniąc ciasto od przeciągu. „Zazębiona” baba nie rosła i miała zakalec. Samo pieczenie łączyło się zazwyczaj z wielkim ryzykiem. Baby można było spalić lub spowodować, by „siadły”. Cóż

to wtedy była za kompromitacją! Gotowe, wystudzone nieraz na puchowych poduszkach baby lukrowano i cudnie zdobiono. Na wielkanocnym stole ustawiano „święcone”, czyli szynki, kielbasy, salcesony, mazurki, torty, baby, przekładane pieczone prosię, lub przynajmniej pieczony leśb swiński. Każde wolne miejsce na stole wypełniały pisanki. Wszystko to — rzecz oczywista — w towarzystwie butelek i karafek z wódkami, nalewkami, miodami pitnymi, winem i piwem. Pięknie to wszystko wyglądało, ale jako się rzekło do czasu. Rychło z dostojnością rozpoczęła ucztę przeradzała się — zwłaszcza w magnackich domach — w istne orgie pijactwa i obżarstwa.

O! na przykład „święcone” u księcia Sapięhy (za Władysława IV). Czegóż na tych stołach nie było! Czwere pieczone dziki nadziane szynkami, dwanaście równie wymyślne faszerowanych jeleni przedstawiać miało miesiące roku. Placki i ma-

zurki przedstawiały tygodnie, a 365 babek dni. O tym zaś co i w jakich ilościach pito niech świadczy fakt wydania służbie 8760 kwart miodu, czyli tyle ile godzin składa się na rok kalendarzowy. Pomysłowo i... drogo, strasznie drogo! Ciekawe, jaką miłą miałby książę Sapięha, i jego goście, gdyby przeniesić ich do naszych czasów i wleknąć w rękę kartki zaopatrzenia M-I i P-II?

Zbytek, przesada, zamyłowanie do przepychu i zagranicznych nowinek kulinarnych i obyczajowych sprawiły, że skromna niedys, wychwalana już przez Mikołaja Reja kuchnia staropolska przeistoczyła się w oazę obżarstwa i opilstwa. Pojawiały się coraz to wymyślniejsze potrawy. Bez umiaru szafowano sprowadzanymi za wielkie pieniądze zamorskimi przyprawami: pieprzem, imbirerem, szafranem, gałką muszkatołową, cynamonem, goździkami itd. Importowano także drogie wina i bardzo drogi cukier zwany „kanarem”, bo pochodzący z rosnącej na Wyspach Kanaryjskich trzciny cukrowej.

Każde święto, a przede wszystkim Wielkanoc zbierały niekiedy tragiczne żniwo. Przodkowie nasi często chorowali na skracające życie choroby biorące swój rodowód właśnie z obżarstwa i opilstwa. I dzisiaj, kiedy nieraz nie możemy oprzeć się zakodowanej w naszej, pożałujcie Bóg, narodowej tradycji kulinarnej chęci „postawienia” się tak, by było znać pana, pamiętajmy, że kiedyś tak o żarciu i opilstwie pisał Wacław Potocki:

(...) „O tym szlachta, panowie, o tym myślał książę,

Choć się co rok w granicach swych ojczyzna zwała;

Choć na bóg umierają żołnierze niepłatni,

Choć na oczy widzą jej peryjod ostatni... (..)

Był to, jak wiadomo głos wołającego na puszczy. Lecz ku przestrodze właśnie dlatego warto o tym pamiętać. Łatwiej także bo i warunki po temu są — wspomnij obraz księcia Sapięhy z kartkami w ręku...

Opracował: bej



Fot. Krzysztof Raczowski

CZŁOWIEK I ŚRODOWISKO

O ŻYWNOSCI - TROCHĘ FAKTÓW I OPINII

(Dokończenie ze str. 7)

Największe przekroczenia kadmu w stęskunku do ustaleń PZH mają miejsce w mleku z Przybłkowa i Smokowic (20 razy i 7,5-krotnie). Poza tym przekroczenia kadmu spotyka się w warzywach z Przybłkowa (12—13 razy), a także ze Smokowic i Ludwikowa (7,5-krotnie i 2—6-krotnie).

Zanotowano też spore przekroczenia średnich PZH jeżeli chodzi o miedź i cynk. Nadmierne ilości Cu stwierdzono np. w mleku w Bogomicach i Rapocinie (4-krotnie i 1,5-krotnie), w ziemniakach (2-krotnie), a także w jajach i mięsie drobiowym (2—3-krotnie). Cynk przekroczone m. in. w mleku (2—10 razy w Przybłkowie), w ziemniakach (3-krotnie w Rapocinie) i mięsie drobiowym z Przybłkowa (dwukrotnie).

Przedstawiane porównanie wyników uzyskanych wokół hut miedzi ze średnimi PZH nie pozostawia wątpliwości, że wielu rolników produkuje żywność, w której zawarte są trujące substancje. Jest to tym niebezpieczniejsze, że w przypadku wycieków hutniczych chodzi o metale ciężkie, wpływające ujemnie np. na wątrobę, czy mogące się również stać czynnikiem rakotwórczym. Powstaje jednak zasadnicze pytanie: Czy skażenie osiągnęło już taki stopień, w którym można mówić o realnym zagrożeniu zdrowia ludzi spożywających ziemniaki i warzywa spod hut, czy tylko o potencjalnym? Brak zdecydowanej normy państwowej umożliwia tu szerokie pole interpretacji badań, a nawet deprecjonowania ich czasem rzeczywistej wymowy. To po pierwsze. Po drugie zaś brak też kompleksowej oceny stanu zdrowia ludności z zagrożonej strefy, co uniemożliwia ewentualne porównania z sytuacją w innych rejonach kraju.

Nie jest jednak tak, jak próbuje czasem wmówić nam przemysł, że stan jest niemal idealny. Zagrożenia są znane, i to nie tylko władzom województwa, odczuwamy je na własnej skórze. Zresztą podobne problemy powtarzają się w kilku innych najbardziej uprzemysłowionych miejscach Polski. Dlatego, jak donosi pismem z połowy lutego br. Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, „aktualnie nowelizowane jest rozporządzenie z 1971 roku. W nowym brzmieniu będzie ono m. in. podstawa do oceny zawartości metali w takich płodach rolnych jak warzywa, owoce, zboża. Do czasu jego wydania wobec braku aktualnie obowiązujących wymagań dla metali w płodach rolnych, produkty te w zakresie dopuszczalnej zawartości metali szkodliwych dla zdrowia powinny być oceniane przez resort zdrowia”.

Tak też się stało w przypadku LGOM. Na pytanie wojewody, główny inspektor sanitarny odpowiada:

(...) Na podstawie opinii Państwowego Zakładu Higieny uprzejmie informuję, że przedstawione wyniki zawartości arsenu, a także miedzi i cynku (z wyjątkiem kilku próbek) w badanych produktach z tych terenów (tymczasowe strefy ochronne hut miedzi — dop. aut.) nie budzą zastrzeżeń z punktu widzenia ochrony zdrowia. Natomiast wyniki zawartości kadmu i ołowiu w większości badanych produktów (z wyjątkiem tych, które pobrano w Bogomicach i Rapocinie) są bardzo wysokie. W związku z powyższym resort zdrowia i opieki społecznej uznał za celowe powtórzenie tych badań i w przypadku uzyskania wyników potwierdzających obecność, zaniem resorstu produkty o tak dużym zanieczyszczeniu nie powinny być spożywane przez ludzi”.

Z żywnością produkowaną wokół hut jest więc źle. Wskazują na to przedstawione wyniki badań. Mówią to pomiędzy zdaniem pisma z ministerstwa. Czy potrafimy się przed tym zagrożeniem obronić?

GRZEGORZ CHMIELOWSKI

● W wielu krajach istnieje zawód piosenkarza. U nas nawet tzw. zawodowcy mają w papierach inne niż muzyczne wykształcenie. Czy czuje się pan profesjonalistą?

— Trochę, bo ze śpiewania żyję, ale... w dokumentach mam napisane: projektant mody damskiej. Na studiach w łódzkiej PWSSP byłem zresztą jedynym przedstawicielem brzydkiej plei wśród studentów tego kierunku. Wcześniej skończyłem studium nauczycielskie. Egzaminatorzy na akademii pytali, dlaczego decyduję się akurat na ubiory damskie. Niewiele myśląc odrzekłem, że skoro jest Chanel, Bacciarrelli to może wreszcie i Mec salon mody damskiej otworzy. No i mnie przyjęli. Studiowałem z dużymi przerwami na „show-business”. Nie wiem, czy i kiedy wrócę do projektowania ubiorów. Na razie mnie to nie pociąga. Może jeszcze przez jakiś czas utrzymam się na estradzie. Zaraz po studiach byłem niezdecydowany i raczej widziałem siebie w przemyśle niż przy mikrofonie, choć nie wienyłem, że w przemyśle odzieżowym coś można zmienić. Wielu zdolnych projektantów przepadało, ponieważ modę dyktowali nie oni, lecz wszechwładni, wszechwiedzący dyrektorzy. Głośna była sprawa z dżinsami. W jednej z fabryk projektantka zaproponowała, by zacząć szyć te spodnie, bo już cały świat w nich chodzi. Dyrektor był innego zdania. Stwierdził, że te spodnie w Polsce nie pójdą, bo... nie mają kantów! Pewnie to zdecydowało, że wybrałem estradę. Nie żałuję, bo gdy pomyślę, że rysowałbym typówkę, popijał wino i zjadał ciasteczka u dyrektora, to mnie ciarki przechodzą i już wolę się wystawiać na widowsko.

● Co trzeba robić, żeby się utrzymać w branży?

— Każdego dnia trzeba pokonać tyle najrozmaitszych przeszkód, że jednak chyba lepiej coś tam projektować. Szuka się repertuaru, zespołu. Podejmuje wiele prób utrzymania tego w jakiś sposób. Piosenkarz jest sam. Radio reaguje błyskawicznie. Droga od nagrania do emisji jest bardzo krótka. Ale nie daj Boże nagrać płytę w „Polskich Nagraniach”, gdyż z wielką dozą prawdopodobieństwa można przewidzieć, iż ukaże się ona przed śmiercią. Nasze firmy fonograficzne są w rozpaczce; nie ma gdzie nagrać i gdzie tłoczyć. Myślę jednak o jakiejś tam perspektywie dla siebie. By nie zapomnieć, że trochę potrafie malować — czasem sięgam po blejtram i farby. Ostatnio sam projektuję okładki do swoich płyt.

Na pewno lepiej działałoby się piosenkarzom, gdyby istniała instytucja menadżerów. Ale tego typu ludzie są tylko na Zachodzie. U nas nikogo nie obchodzi, jaką wybiorę muzykę, jakie słowa, jak to wykonam. Jesteś człowiekiem sam i kropka.

● No dobrze, ale są przedsiębiorstwa estradowe...

— Są przedsiębiorstwa, ale nie ma menadżerów. W ogóle piosenkarz czuje się wyizolowany, zdany tylko na siebie. Nigdy nie byłem związany na stałe z jakąkolwiek estradą. Jak tam wejść, to czuję się jak w przytulku dla bezrobotnych. Tam nikt nie ma pojęcia o estradzie w sensie artystycznym i organizatorskim. Tam każdy myśli, jakby tu zarobić. Dla nich nie liczy się ambicja, ale pieniądze. Ich praca polega na tym, że chodzą po zakładach i proponują zakup występu Sipińskiej albo Meca. To początek i koniec ich organizatorskiej działalności...

● Mówi pan w imieniu swoim, czy ogółu naszych estradowców?

— Prawie wszyscy żyjący ze śpiewania mają podobne zdanie. Menadżerów jest tylko trzech: Szewczyk — „Dwa plus jeden”, Kozicz „Skaldowie” i Bogdanowicz — opiekun Ireny Jarcokiej. To są ludzie którzy rzeczywiście znają się na tej branży. Lubią autentyczność. To jest ich pasja. A reszta — nawet jeśli mówią o sobie, że są fachowcami — to różni tacy, którzy nigdzie indziej pracy nie dostali.

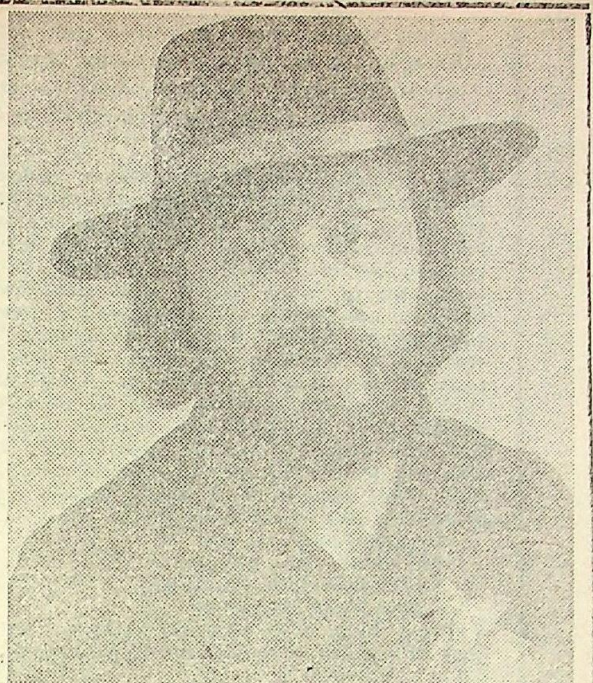
● Czyli nie ma u nas show-businessu. Jest tylko amatorczyzna. Słowem — jesteśmy daleko w tyle za innymi...

— O życiu estradowców na Zachodzie też mamy fałszywe pojęcie. Taki Frank Sinatra nie żyje przecież ze śpiewania, ale dlatego, że ma powiązania z mafią. O tym wiedzą wszyscy i nikt się temu nie dziwi. Ale na przykład nasz Adam Makowicz żyje sobie

TYLKO NA POZÓR ŚPIEWAM O MIŁOŚCI

Rozmowa

Z BOGUSŁAWEM MECEM



bardzo skromnie w Nowym Jorku. I mimo że ma najlepsze recenzje — do luksusów mu daleko.

Ja podczas kilku tygodni występów zarobiłem więcej niż za taką samą ilość koncertów otrzymałby Makowicz. Tam, żeby się liczyć trzeba mieć szmal, bogatego wujka albo menagera takiego jak Brian Epstein („The Beatles”) lub Fank Farian („Boney M”).

● Pojawiał się pan na estradzie nagle. Prawdę rzekłszy wykreowała pana jedna piosenka. Myślę tu o „Jej portrecie” z 1971 roku, który nie zestarzał się przez te dziesięć lat.

— Wcześniej pojawilem się na estradzie studenckiej, konkretnie na FAMIE w Świnoujściu. Zaśpiewałem dwie ballady skomponowane przez siebie do słów Aleksandra Puszkina: „Kataryniarz” i „To nie był sen”. „Jej portret” — to istotnie moment przełomowy w moim życiu, który zadecydował o wyborze estrady. O sukcesie piosenki przesądził autentyzm jej twórców Nahornego i Kofy oraz mój. Wszyscy, jak się potem okazało, byliśmy akurat piekielnie zakochani. Wcale więc nie udawałem... Myślę, że publiczność nie akceptuje wszelkiego udawania, wydziwiania, czy tak zwanej bogatej interpretacji. Widzowie cenią autentycznych wykonawców. I taki staram się być. Może dlatego nigdy nikt mnie nie wygwizdał ani nie rzucił zgnitym jajem... Ale wróćmy do „Portretu”. Po tym oszałamiającym sukcesie na festiwalu opolskim nastąpiła przymusowa przerwa w życiu. Po prostu miałem kłopoty na uczelni. Nawet mnie zawieszono w czynnościach studenta. Nie wiem czy spowodowały to naciski ze strony kolegów także muzyków, którym władze szkoły nie pozwoliły na wyjazdy, czy też może zwykła, ludzka zawiść, od której przecież także profesorowie nie są wolni. My, Polacy, nie umiemy się cieszyć sukcesami innych. Każdy sukces rodzi zawiść. Mimo różnych przeszkód potrafiłem się jednak zebrać i oprócz łapania ocen od czasu do czasu wyrzynałem się na estradę. Pewnie dlatego oprócz „Portretu” coś tam jeszcze śpiewałem. Było przecież „Na pozór”, „Mały biały pies” i parę innych.

● Czy przejmują się pan opiniami o sobie?

— O tak, i bardzo sobie cenię rzeczową krytykę, rzetelne oceny. Odważyłem się nawet na to, żeby przed występami rozdawać widzom papier, na którym mogą wypowiedzieć się o mnie lub o coś spytać. W domu mam pełen puchar kartek z całej Polski. Oczywiście krytykują mnie za styl, repertuar, ubiór...

● O co pytają?

— Dlaczego chodzę w kapeluszu i na czarno... Odpowiadam, że w tym stroju ponoć mi do twarzy, a w ogóle to muszę czymś przykryć łysinkę. W berecie wyglądam kiepsko, a na welnę jeszcze za wcześnie. Pytania są na ogół życzliwe. Tylko raz opuściłem jedną kartkę. Ktoś chciał poznać bliżej dziewczynę, która rozdawała papier...

Zauważyłem, że pytania pozwalają mi zbliżyć się do widowni. Potem ludzie ciepło reagują, zwłaszcza gdy w drugiej części śpiewam taką mieszkankę „Wo shall overcome”

czy „Speedy Gonzales”. Moim zdaniem owo ciepło bierze się stąd, że widzowie już wiedzą, kto ja jestem, skąd, jak reaguję, jak się odzywam. To upoważnia mnie do wyciągnięcia wniosku, że ludzie nie przychodzą na koncert, aby posiedzieć, lecz by tego kogoś poznać, czegoś się o nim dowiedzieć, usłyszeć co on sądzi o sprawach ich obchodzących. Dlatego nie pozostawiam żadnego pytania bez odpowiedzi.

● No dobrze, a krytyka prasowa?

— Raz w „Kurierze Lubelskim” ktoś coś napisał agresywnie o jakiejś tam działalności mojej na estradzie. Zwymyślał mnie i wysmiał, ale z treści artykułu wynikało, że autor nie miał najmniejszego pojęcia o muzyce i piosence. No bo skoro zaliczył „Jej portret” do przebojów, to wiadomo, że nie wie o co chodzi. To był jakiś początkujący dziennikarz, który chciał pokazać swój ostry język i moim kosztem zrobić karierę. Nie znam jego losów. Kiedy indziej, gdy współpracowałem z Marylą Rodowicz w „Gazecie Białostockiej” Jacek Grün wydrukował taką recenzję „Koncert Maryli wyglądał mniej więcej tak jak jej ostatnia płyta, którą przeceniono ostatnio na 15 zł”. Potem, gdy go poznałem spytałem, dlaczego tak napisał. Jacek odparł, że są dwie możliwości, żeby wskoczyć w ten dziennikarski świat: albo się wygłupić, tzn. za wszelką cenę znaleźć coś złośliwego i zjadliwego na recenzowaną osobę, albo skromnością — ale to droga znacznie dłuższa i mniej skuteczna. Zresztą po tym zlepku krzywdzących opinii Maryla wniosła sprawę do redakcji gazety o odwołanie tych obelg. W efekcie Grün odwołał to co napisał i przeprosił zainteresowaną. Niby było po sprawie, ale przecież autor recenzji zdobył jakąś pozycję. Nazwisko przestało być pustym dźwiękiem. Zresztą ten człowiek akurat jest muzykalny. Po prostu zna się na estradzie. A że wybrał tę drogę — trudno się dziwić. Inaczej może nigdy nikt by go nie poznał i do pisania o muzyce młodzieżowej nie dopuścił.

● Czy nie czuje się pan zaszukawany?

— Kiedy ja bardzo lubię takie nastrojowe piosenki poetyckie. Od czasu do czasu próbuję się jednak wyrwać z tej szuflady. Proszę zaprzyjaźnionych autorów, by nie pisali już o miłości, bo ja mam już nieraz dość tego wydychania. Czasem ktoś się zlituje i napisze jakiś tekst o małym białym psie albo o kreciku. Chciałbym też spróbować się na serio w muzyce rockowej. Na razie robię próby na standardach rock and rolla i country. Zazdroścę tekstów Amerykanom. Kenny Rogers jest uwielbiany przez całe USA, bo śpiewa po prostu o życiu. Jego ballady to małe opowieści np. o przyjaźni dwóch kierowców, albo o jednym takim tchórze w miasteczku, z którego wszyscy się śmiali, a on wyjechał na trzynastcie lat, nauczył się juda, karate i wrócił i od tej pory już nikt nigdy sobie z niego nie koił. Normalnie o życiu. Bez zawiąsów, głębi, metafor itp. U nas ciągle w większej cenie ten tekst, który jest wyrafinowany i pogłębiony. A przecież widz na prawo żądać od nas lekkiej strawy.

Rozmawiał:
CZESŁAW PAŃCZUK

Na początku marca znalazłam się przypadkiem w Kaliskiem, w okolicy wsi Ceków. Autobus, którym jechałam, zaczął nagle zwalniać wśród pól. Okazało się, że na drodze ktoś leży. Pasażerowie wysypali się, by zobaczyć, co się wydarzyło. A to „coś”, ni to stary dziadek, ni to baba, poderwało się na nogi i zaczęło żwawo gnać przez pola. Miejscowi pasażerowie stwierdzili — a to pewnie „niedźwiedzie” chodzą, bo to ostatki. W Cekowie wysiadłam z autobusu, aby tych „niedźwiedzi” z bliska zobaczyć.

Na wiejskiej drodze 30-osobowa grupa przebierańców była otoczona rozkrzyżowaną chmurą dzieci. Próbował je łapać ubrany w słomianą plecionkę „niedźwiedź”, od którego to właśnie obrzęd przyjął swoją nazwę. Oprócz misia wśród przebierańców był koń, pomysłowo skonstruowany z dwu przetaków, diabeł z długim ogonem i widłami, śmierć i to coś uciekające przez pola co się okazało Żydem w jarmużce. Wśród przebierańców rozpoznałam swoich znajomych z wrocławskich spotkań muzycznych rodzin. Byli to Orzykowscy z Cekowa, którzy za swoje piosenki otrzymali wiele nagród. Cała grupa weszła na pierwsze podwórko i zaśpiewała:

Przychodzimy na ostatki,
nie mamy ojca ani matki,
Może gospodyni się zlituje
i nam cośkolwiek okajaruje.

Potem były inne piosenki wykonywane przy dźwiękach ludowej kapeli: akordeonu, bębna, skrzypiec i basów. Jakim jechał od Kalisza,
słota moja mała Marysia,
A ja do niej przez zagony,
Poddeptałem groch zielony.

A wy moje oczki bure
Chodźcie ze mną spać na górę,
odprawim błogosławieństwo,
aż się będzie siano trzęsło.

Teksty piosenek są oryginalne i nigdzie indziej ich nie słyszałam. Zdziwiała jest także pasja, z jaką muzykuje rodzina Orzykowskich z Cekowa pod Kaliszem. W skład kapeli wchodzi dwaj bracia: Józef — rolnik i Jan nauczyciel, a także żona Jana — Krystyna i trzech synów Józefa: Henryk, Mirosław i Mariusz. Wszyscy grają na różnych instrumentach i śpiewają.

Pochodzimy ze wsi Kosmów pod Kaliszem — mówi Jan Orzykowski — urodził się w niej Stefan Garczyński, największy przyjaciel Mickiewicza. Zawsze byliśmy dumni z naszej wsi i jej tradycji. Nasz dziadziś był cieślą, zostało po nim sporo narzędzi, np. kobyłka i wiele wyrobów: łyżnik, półki, naczynia na ziarno. Postanowiłem uchronić to od zniszczenia. Potem zacząłem zbierać różne inne rzeczy związane z rolnictwem i gospodarstwem domowym. Były to: skrzynie kaliskie, radła ryłkowe, żelazka, lampy naftowe, instrumenty muzyczne, a że byłem w tym zbieraniu uparty zrobiono mi kilka wystaw w Muzeum Kaliskim. Było to 20 lat temu. Kiedy moje zbiory zaczęły się powiększać i już nie mogłem spamiętać, która rzecz skąd pochodzi, zapisywałem to, dodając jeszcze oryginalną nazwę przedmiotu czy narzędzia i w ten sposób zostałem etnografem. W 1973 r. przy pomocy całej rodziny otworzyliśmy Regionalną Izbę Ludową w Cekowie.

Mamy w swoich zbiorach wiele rzadkich przedmiotów m. in. bronią staropolską, zrobioną bez użycia gwoździ, kilka okazów bardzo starych basów kaliskich. To instrument dębany w drzewie topolowym, dwustrunny. Nadaje on rytm w orkiestrze. Najstarszy skład naszej kapeli kaliskiej to właśnie skrzypce, basy i bęben osznurowany.

Aby przybliżyć sobie postać ojca, którego nie znam, bo urodziłem się w kilka miesięcy po jego śmierci, zacząłem zbierać pamiątki po nim. M. in. medale soltyśców, bo ojciec był soltysem Kosmowa, a także znanym w okolicy wodzirejem na wszelkich zabawach i weselach oraz wielkim ka-

RETRO Z KALISKIEGO

walarzem. Właśnie z chęci uchronienia tego co zostało nam po dziadkach i rodzicach narodziła się nasza regionalna izba. Dziś stanowi ona filię Muzeum Ziemi Kaliskiej i jej zbiory są eksponowane w kilku pomieszczeniach. W jednym dokonaliśmy próby rekonstrukcji dawnej izby kaliskiej.

A nasze muzykowanie bierze się stąd, że matka i podobno ojciec pięknie śpiewali. Wiele oryginalnych tekstów znamy właśnie od nich.

Tuż po wojnie, gdy byliśmy bardzo młodzi z moim bratem Józefem, w naszych okolicach było całkiem inne życie niż dziś. Ludzie nie zamykali się w swoich chałupach i nie gapili w telewizory. Wieczorami chłopaki spotykali się, stali pod domami i opowiadali sobie różne zabawne historie, albo też wymyślały jakieś kawały, a przede wszystkim dużo śpiewali. Na podwórzu naszego domu często były zabawy.

Do rozmowy włącza się Józef Orzykowski: — W czasie wojny trudno było grać i tańczyć, ale po kryjomu robiliśmy sobie zabawy. Czasem w niemieckich domach, gdzie były młode dziewczyny. Za całą orkiestrę starczyło, że ktoś grał na organkach. Przed wywiezieniem na roboty czy do obozu chronili nas Niemcy, u których pracowaliśmy. Straciliby przecież tanich parobków.

Na początku nie umiałem tańczyć, a bardzo chciałem się nauczyć, tylko nie było kiedy. Na zabawie to już było na naukę za późno. Raz młóciłem seradę u starej Niemki. Chwyciłem cepy i dalej z nimi zamiast z panną po całej stodole wywijając. Niemka nie słyszała walenia cepów, przelicała do stodoły i jak zobaczyła co robię zwyzywała mnie. Wtedy tańczyło się oberki, polki, walce.

Typowo kaliski jest tzw. taniec w donicy — mówi Jan Orzykowski. Polega on na tym, że tancerz prawie w miejscu obiega tancerkę. Mój brat jest w naszych okolicach uważany za mistrza w tym tańcu. Wykonuje go prawie w miejscu, a wszystko stąd, że uczył się tańczyć z nieruchomymi cepami, a nie z żywą dziewczyną. Mnie już było łatwiej, bo brat mnie uczył. Ale szybko chciałem się wyćwiczyć i jego metodą z cepami w stodole próbowałem. Kręciłem się tak długo aż mi się w głowie zawróciło i rozwaliłem łeb o sieczkarnię.

Ja strasznie zawsze lubiłem muzykę — mówi Józef. — W czasie wojny to nie było okazji, żeby grać. Ale jak się tylko wojna skończyła to zacząłem latać po różnych muzykantach, żeby jaki klarnet kupić. Ale jeden taki mi doradził, że na klarnecie ciężko będzie się uczyć, bo tam dużo palcowania, na trąbce będzie łatwiej, bo tam tylko trzy klapki. Odszukałem więc takiego co miał trąbkę, ale żadnego pojęcia o granii, odkupiłem ją od niego. Trochę musiałem ją podrobić, bo była pogięta. Ale jak się tu uczyć? Dmuchałem, dmuchałem, tylko hałas robię. Matka już tego słuchać nie może, z chałupy mnie wygania. Wymyśliłem sobie sposób: włożyłem trąbkę pod pierzynę. Nadmuchiłem się aż

mnie głowa bolała, ale to ciągle było tylko beczenie okropne.

Poszedłem do kolegi, który umiał grać, żeby mnie uczył. Ale on powiada: — Po jedno to ty nie masz zdolności, a po drugie mam małe dziecko i żona by mnie z domu wygnała jakbyś trąbił i małego straszył. Jak słuchałem grających na trąbce to cały czas myślałem, żebym ja tak umiał. Niedaleko nas, pod krzyżem, robiliśmy majówki. Grała na nich orkiestra siedząca na wozie. Wlażem pod wóz ze swoją trąbką i próbuję z nimi grać, ale tylko im psujęm. Trąbacz wściekły z wozu zszedł, wyciągnął mnie i trąbkę mi odebrał.

Wreszcie natrafiłem na kapelmistrza, który mnie nauczył i do orkiestry wciągnął. A kiedy brat podrośł, to i jemu powiedziałem: weź trąbkę i poucz się. Ale na trąbce jakoś mu usta nie pasowały. Poszedł więc Janek do szkoły muzycznej i profesor poradził mu, żeby grał na puzonie. W wojsku się jeszcze poduczył i trafił do Reprezentacyjnego Zespołu Wojska Polskiego. Jak wrócił do cywila, zrobiliśmy zespół i graliśmy razem. Teraz podra- stają moje chłopaki, namawiam ich żeby się uczyli. Bez namowy żaden by nie grał. Takiego zamiłowania i uporu jak ja, to żaden nie ma, a zdolności mają dużo większe.

Kiedy chciałem się uczyć kupiłem sobie trąbkę za 800 zł, a moje chłopaki już 50 tysięcy wyciągnęły na te nowoczesne instrumenty, a jak prąd wyłączy to nawet są niezdolne do grania.

Miałem ogromne zamiłowanie do gry na akordeonie — mówi Jan — i choć mi wszyscy odradzali i mówili, że nie z tego nie będzie, bo mam powybijane palce, uparłem się i grałem właśnie na tym instrumencie, chociaż na puzonie doskonale mi szło. Ale kiedy powróciłem z wojska powiesiłem puzon na kołku i wolę akordeon. — Na umolnego nie ma lekarstwa — dorzuca Józef.

— Podtrzymujemy te stare tradycje i na Boże Narodzenie chodzimy jako wigiliarze. Ale nie z szopką, bo z szopką to u nas chodzą dzieci. Tylko z pastorałkami, kołdami i piosenkami, i przygrywamy do tego — mówi Jan.

A najbardziej ulubiony przez nas obrzęd, to chodzenie na ostatki „za niedźwiedzi”, które pani widziała. Lubimy też dyngus, ale wtedy więcej krzyku i hecy niż śpiewania. A przy Wielkanocy to wesoło wiele się trafia i wtedy gramy dużo zaczynając od marszów, przez polki, oberki i walce do nowoczesnych kawalków. I bardzo nas cieszy, że dziś młodzież coraz chętniej to tańczy. A 5 lat temu to myśleliśmy, że jako niestylizowany zespół autentycznie ludowy przestaniemy istnieć, albo będziemy grać i śpiewać tylko dla siebie, bo nikt nas nie chciał usłuchać. Ale uratowała nas moda retro i znów jest ogromne zainteresowanie na taką jak uprawiamy oryginalną muzykę z Kaliskiego.

ELŻBIETA POMORSKA

Film „Kramer kontra Kramer”, który wchodzi właśnie na nasze ekrany powinni obejrzeć wszyscy rodzice. Na pozór wydawałoby się, że jest to dosyć banalna historia małżeństwa ze ślicznym dzieckiem, które musi być szczęśliwe. Ojciec rodziny Ted Kramer pracuje w dużym biurze reklamowym; jego żona Joanna zajmuje się domem i synkiem Billym. Jednak Joanna w pewnym momencie czuje się znudzona i wyjątkowo swoją egzystencją. Postanawia opuścić rodzinę i spróbować swoich sił w życiu zawodowym.

Wytwarza się nowa sytuacja. Porzucony ojciec z dzieckiem musi uczyć się zwykłych codziennych czynności, które do niedawna wykonywała żona. Nawet usmażenie grzanki jest powodem komplikacji; Billy żąda, aby ojciec wykonywał wszystko tak jak matka. Wyrzuca mu często, że ona to robiła lepiej. Ted stara się zajmować chłopcem starannie i serdecznie, upodabnia się w swoim postępowaniu do matki. Znajduje

Z NOTATNIKA KINOMANA

KRAMER CONTRA KRAMER

wspólny język z sąsiadką, która samotnie wychowuje swoje dzieci. Wzajemnie sobie pomagają. Ted przesiaduje na parkowych ławeczkach prowadząc typowo damskie pogawędki. Podczas gdy tatuś gawędzi, Billy rozbija sobie głowę. Początkowo wygląda to bardzo groźnie, na szczęście po wypadku pozostaje tylko blizna. Zajmowanie się synem mocno absorbuje Teda, zabiera mu tak dużo czasu, że opuszcza się w pracy. Zostaje przeniesiony na gorsze stanowisko, coraz mniej zarabia. Tymczasem pojawia się Joanna, która w czasie gdy on zajmował

się dzieckiem zrobiła błyskotliwą zawodową karierę. Teraz ona pragnie odzyskać syna. Billy wyrósł i sprawia mniej kłopotów, wymaga mniejszej opieki. Matka szermuje argumentem, że mąż marnie zarabia, więc nie może zapewnić dziecku odpowiedniego utrzymania, na jakie ją stać. Tu znów mamy odwrócenie klasycznej sytuacji — Joanna występuje o rozwód. Sceny z sądu są chyba najsmutniejszymi w filmie.

Ted to człowiek nieprawdopodobnie do- likatny i wyrozumiały, nawet wówczas, gdy jest atakowany. Okazuje się, że w pewnych sytuacjach życiowych nie ma dobrych rozwiązań, nawet gdy wszyscy wykazują dobrą wolę. Na tle tej historii bardzo ciekawie rysują się zmiany psychiczne, jakim ulegają główni bohaterowie. Ojciec staje się kochliwy, matka ma twarde męskie rysy. Syn zaczyna traktować ojca tak jakby on wos- biało oboje rodziców. Ale wciąż tęskni za matką.

(PŁ)

KRÓTKO • KRÓTKO • KRÓTKO • KRÓTKO

• Wydział Gier i Dyscypliny OZPN w Legnicy dokonał losowania 1/4 finału wojewódzkiego piłkarskiego Pucharu Polski, ustalając jednocześnie terminy eliminacji, półfinałów i finałów. W spotkaniach ćwierćfinałowych zmierzą się: Chojnowianka — Chrobry Głogów (13 kwietnia, godz. 17), Dolpakart Chojnów — Miedź Legnica, Stal Chocianów — Kuźnia Jawor, Konfeks Legnica — Zagłębie Lubin (14 kwietnia, godz. 17). Półfinały odbędą się 5 maja, a finał wojewódzki 26 maja br.

• W Głogowie przeprowadzono rejonowe zawody strzeleckie z broni pneumatycznej. W konkurencji karabinka najlepsze wyniki uzyskali: seniorzy — Kazimierz Matusz, juniorzy starsi — Jarosław Kizuk, juniorzy młodsi — Jan Baraniecki, juniorki — Renata Mońko, a w pistolecie — seniorzy — Tadeusz Tulecki, juniorzy starsi — Roman Kędra, juniorzy młodsi — Feliks Leśniewski.

• Rada Gminna Zrzeszenia LZS zorganizowała w Chojnowie wielodyscyplinowe zawody o „Puchar Wiosny”. W parku miejskim przeprowadzono biegi przełajowe, w których mistrzami gminy zostali: kobiety: 1500 m — Bożena Radwańska (Rolnik), 1000 m — Urszula Szczeniak (Rokitki), 800 m — Justyna Szczepna (Biała); mężczyźni: 3000 m — Tadeusz Kazimierz (Golisów), 2500 m — Edward Zachary (Golisów), 2000 m — Ryszard Gaska (Rolnik), 1500 m — Mirosław Tucholski (Rolnik), 1000 m — Aleksander Pawlu (Rokitki).

W tenisie stołowym zwyciężyli: Teresa Pakula z Białej oraz Zbigniew Świrzewski również z Białej. W szachach pierwsze miejsce zajęli Helena i Józef Roztoczyńscy z Białej, a turniej warcabowy wygrał Tadeusz Dobrzański z Białej. Puchar wywalczyła ekipa LZS Biała, wyprzedzając Rokitki, Goliszów, „Rolnika” Chojnów i Zamienice.

• W dniach 23–25 kwietnia na szosach województwa legnickiego rozegrany zostanie tradycyjny, XVII Ogólnopolski Wyścig Kolarzski „Szlakiem Grodów Piastowskich” organizowany pod patronatem wojewody legnickiego. Trasa wyścigu (jego bazą będzie Głogów) wynosi 433 km i została podzielona na 4 etapy.

Pierwszego dnia, 23 kwietnia, odbędzie się wyścig szosowy na okrężnej trasie. Start na stadionie, potem kolarze pojedą przez: Jerzmanową, Nowe Osiedle, Potoczek, Jakubów,

Karowice, Brzostów (dwa okrążenia), a następnie ul. Armii Radzieckiej i przejadą linię mety na ul. Świerczewskiego — obok SP 1. Start o 16.30, a meta o 19.

24 kwietnia (sobota) od godz. 9 do 11.30 — II etap — jazda indywidualna na czas: Głogów — Głogów. Po południu (17–18.30) odbędzie się kryterium uliczne w Głogowie: start i meta ul. Świerczewskiego, przejazd ulicami: Armii Radzieckiej, Wojska Polskiego, Obrońców Pokoju i Buczka.

Ostatniego dnia, 25 kwietnia, kolarze wystartują (godz. 10) z Polkowic i pokonają 186-kilometrową trasę: Chocianów — Chojnów — Złotoryja — Męcinka — Pomoć — Jawor — Legnica — Lubin — Polkowice — Głogów. Meta na stadionie, o godz. 15.

• Zakończyły się rozgrywki szachowej ligi okręgowej. Zwyciężył Chrobry Głogów — 42, przed Legiōnem II Legnica — 38,5, Piastem Legnica — 32, ZDK Przemków — 27, Dolpakartem Chojnów — 24, LZS Radwanice — 12 i Górnikiem Polkowice — 9,5 pkt.

• W rozegranej w Legnicy wojewódzkiej spartakiadzie młodzieży w koszykówce chłopców zwyciężył Zespół Szkół Budowlanych Legnica przed LO Złotoryja, II LO Legnica i Zespołem Szkół Zawodowych w Złotoryi. Najlepszym strzelcem okazał się Dariusz Bobrek z LO Złotoryja.

• 80 zawodniczek i zawodników wzięło udział w organizowanych 4 kwietnia br. przez OSiR w Legnicy VII narciarskich mistrzostwach województwa legnickiego. W rozegranym na Hali Szrenickiej slalomie gigantycznym wśród kobiet zwyciężyła Irena Kurowska z Legnicy przed Elżbietą Gawron ze Złotoryi i Krystyną Wanat z Polkowic. I miejsce w gronie mężczyzn wywalczył Lesław Kister z Lubina przed Andrzejem Chadrystem (Rudna) i Krzysztofem Karczewiczem (Legnica).

• W Legnicy zorganizowano ogólnopolski turniej tenisowy młodzieży (juniorzy do lat 16), w którym bardzo dobrze zaprezentowali się podopieczni Bogdana Maroniaka z legnickiego MDK. Wśród chłopców triumfował Dariusz Skrzypczak, który w finale zwyciężył Wojciecha Jamroza z Energomontażu Wrocław. W sumie w turnieju wzięło udział 12 dziewcząt i 25 chłopców.

TELEWIZJA

SOBOTA — 16 IV 1982 r.

7.45 — Tydzień na dzialec, 8.15 — Kino Teleferii, 10.30 — Dziennik, 11.15 — Siedem anten, 12.05 — Filmołeka narodowa: „Rękopis znaleziony w Saragossie”, 13.00 — Monitor sejmowy, 15.30 — „Podróż Karola Darwina” — film ser. cz. I, 16.30 — Dziennik, 16.50 — Ofensywa wyzwolenia, 17.25 — „D’Artagnan i trzej muszkieterowie” — film ser. radz. cz. I, 18.50 — Dobranoc, 19.05 — Wiosenne ballady, 19.30 — Dziennik, 20.15 — „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” — odc. X serialu pol. 21.15 — Rok Karola Szymanowskiego, 21.30 — Dziennik, 22.10 — Gwiazdy wielkich oper, 22.30 — „Kino Interesujących Filmów: „Ludzie z deszczu” — amerykański film psych.-obyczaj.

PROGRAM II

8.30 — NURT, 15.55 — Program dnia, 16.00 — Inauguracja dni olimpijskiej, 16.30 — Jak cudnie są wspomnienia — cz. I, 17.30 — Popołudnie przygody i podróży, 19.00 — Rozmaitości, 19.30 — Dziennik, 20.15 — „La Cantarina” — opera komiczna J. Haydna, 21.15 — „Abigel” — cz. II węg. serial obyczaj, 22.25 — Reportaż film.

NIEDZIELA — 17 IV 1982 r.

8.00 — Nowoczesność w domu i zagrodzie, 8.20 — Tydzień, 9.00 — Kino Teleferii — „Panią z okienka” cz. I, 10.30 — Program dnia, 10.35 — Przed piłkarskimi mistrzostwami świata — Espana 82, 11.15 — Program red. rolnej, 11.50 — Dziennik, 12.35 — Telewizyjny koncert zyczeń, 13.25 — Telewizyjny teatr dla dzieci, 14.20 — Losowanie Dużego Lotka, 14.35 — „D’Artagnan i trzej muszkieterowie” — cz. II radz. serialu, 16.00 — Teatr TV na świecie, 16.00 — I liga piłki nożnej, 18.45 — Proste pytania, 19.00 — Wieczorynka, 19.30 — Dziennik, 20.00 — „Samotnik” — franc. kom. film, 21.15 — „Powrót” — film dok., 22.15 — Wiosenny koncert Jerzego Miłana, 22.55 — Kino nocne.

PROGRAM II

10.40 — Program dnia, 10.45 — „Saga żołnierskiego rodu” — wojak. film dok., 11.15 — Studio 2 — Zapowiedź koncertu zyczeń, 11.25 — Magazyn rodzinny, 11.30 — Brzechwa nie tylko dzieciom, 12.00 — Samechody i ludzie, 13.00 — Portret 2 autografem, 13.30 — Koncert zyczeń Studia 2, 13.35 — Magazyn rodzinny, 13.45 — Jak się robi filmy animowane, 14.05 — Koncert zyczeń, 14.10 — Teleturniej o jajo, 14.50 — Kino Oko, 16.00 — „Zwariowany weekend” — franc. kom. z Louisem de Funès w roli głównej, 17.30 — Bliżej natury, 17.50 — Muppet Show, 18.20 — Koncert zyczeń Studia 2, 18.30 — Magazyn rodzinny, 18.40 — Film przyrodniczy, 19.25 — Koncert zyczeń Studia 2, 19.30 — Dziennik, 20.10 — Portret kompozytora — Romuald Twardowski, 21.10 — Magazyn rodzinny, 21.20 — Program rozrywkowy, 22.30 — Na dobranoc gra orkiestra Zbigniewa Górnoego.

PONIEDZIAŁEK — 12 IV 1982 r.

8.55 — Program dnia, 9.00 — Kino Teleferii — „Panią z okienka” — cz. II, 10.20 — Architektura drewniana w Polsce — film dok., 10.50 — W starym kinie — „Szpieg w masce” — w roli głównej Hanka Ordonówna, 12.10 — Palmowe święto, 12.35 — Dziennik, 12.45 — Na krogach zapisane — rep. 13.15 — Z cyklu „Punkt widzenia”, 13.25 — Klub sześciu kontynentów — Rytm Indii, 14.15 — Teatr dla dzieci — „Niezwyczajne przygody doktora Deolittle” — cz. II, 15.15 — „D’Artagnan i trzej muszkieterowie” — serial radz. cz. III, 16.30 — Prosto z Polski, 16.50 — „Złota łódź podwodna” — film animow., 6 Beatlesach, 18.15 — Pr. public. 19.00 — Wieczorynka, 19.30 — Dziennik, 20.00 — Teatr TV: A. de Musset — „Kaprys”, 20.50 — Magazyn estrady — pr. rozrywk., 21.40 — Wiadomości sportowe, 22.10 — Solo i w duecie — Lidia Kłobucka i Ryszard Tarasiewicz.

PROGRAM II

12.00 — Studio 2, 12.10 — Magazyn rodzinny, 12.15 — Brzechwa nie tylko dzieciom, 12.45 — Makpy z doliny Amazonki — film przyr., 13.15 — Świąteczne zyczenia, 13.25 — „Nie lubię poniedziałku” — polska kom. filmowa, 15.05 — Magazyn rodzinny, 15.10 — Bliżej natury, 15.30 — Muppet Show, 16.00 — „Tamara” — film dok., 16.20 — Prawda i legenda, 17.00 — Wielka gra — teleturniej, 17.55 — Hodowle z pestek, 18.15 — Staropolskie spotkanie z baładą, 18.35 — Magazyn rodzinny, 19.30 — Dziennik, 20.05 — Program filmowy, 21.25 — Na początku był piasek — film dok., 21.55 — Magazyn rodzinny, 22.00 — Program muzyczny.

TVP zastrzega sobie możliwość zmian w programie.

MISTRZOSTWA KIBICÓW

Zamieszczamy dziś szóstą serię (drugą olimpijską) pytań w pierwszych mistrzostwach kibiców sportowych województwa legnickiego. Przypominamy, że odpowiedzi należy nadsyłać w terminie 7 dni od ich opublikowania na adres: Wojewódzka Federacja Sportu, ul. Obrońców Stalingradu 12, 59-220 Legnica, z dopiskiem na kopercie: „Mistrzostwa kibiców”. Oto kolejne pytania:

1. Jak się nazywał i kiedy powstał pierwszy Polski Komitet Olimpijski?
2. Kto był pierwszym prezesem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego?
3. Które miejsce wywalczyły polskie siatkarki na Olimpiadzie w Rzymie?
4. Kto zdobył w historii igrzysk największą ilość medali — podać ile i jakie?
5. Jak nazywał się przegrywka Kazimierza Paździora w finale wagi lekkiej na Igrzyskach Olimpijskich w Amsterdamie?

6. Ile razy koszykarze USA wywalczyli tytuł mistrza olimpijskiego?

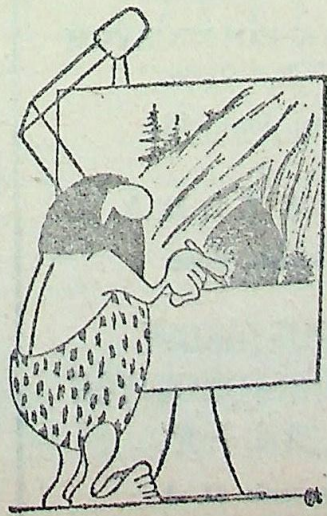
7. Jakie najlepsze miejsce na igrzyskach uzyskał Polak w biegu na 5000 m i w którym roku?

8. Podać nazwiska pierwszej trójki finałowego biegu na 10.000 m w 1932 r. w Los Angeles.

9. Ile wynosi i do kogo należy aktualny rekord olimpijski w skoku o tyczce?

10. Jakim wynikiem zakończył się finałowy mecz koszykówki mężczyzn USA — ZSRR na Olimpiadzie w 1972 r.?

Odpowiedzi na pytania IV serii: 1. Holandia — Austria 5:1, 2. 1 miejsce, 3. 2 miejsce, 4. cztery razy, 5. szachownictwo, 6. 1952, 7. Jedy Schecter, 8. John Mc Enroe, 9.



Rys. W. Fuglewicz

OGŁOSZENIA DROBNE

ZGUBY

SKRADZIONO wkładkę T-263800, Maria Zwierzchlejska, Jawor, Staszica 2/1. 24290-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową seria AK nr 286795, wydaną przez NFN „Odra” Nowa Sól, na nazwisko Irena Dziadyk, zamieszkała Wilkocin 49. 24291-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową seria T nr 435958, wydaną przez ZMI „Legmet”, Zdzisław Nowakowski, Legnica, Henryka Pobożnego 13/4. 24292-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową T 473697, Stanisław Stokłosa, zamieszkały Legnica, Gwiezdna 9/4. 24293-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową T-427541 wydaną przez Urząd Miasta i Gminy Chocianów Ludwika Urban, wieś Trzmiel. 24294-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową T 480505, wydaną przez Hutę Miedzi „Legnica”, Marian Sobków, Legnica, Mickiewicza 37/38. 24296-g

ZGUBIONO kwitariusz przychodowy Ośrodka Sportu i Rekreacji w Legnicy od nr 899301-899400, Andrzej Wach, Legnica, Gwiezdna 19/9. 24297-g

SKRADZIONO wkładkę zaopatrzeniową nr T 356980, wydaną przez Zakład Robót Górniczych Lubin, Zbigniew Daszyński, Lubin, ul. Skłodowskiej 90. 24300-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową seria T nr 288435, wydaną przez PBMH Lubin, Jan Rój, Kłopotów 24, gm. Lubin. 24301-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową seria T nr 444330, wydaną przez Cech Rzemiosł Różnych w Legnicy, Teresa Graboń, Legnica, Piechoty 13/15. 24302-g

ZGUBIONO wkładki zaopatrzeniowe seria T nr 483316, 483317, 483318, 483319, wydane przez Hutę Miedzi „Legnica”, Jan Stępień, Legnica, Galileusza 13/21. 24303-g

ZGUBIONO wkładki zaopatrzeniowe seria T nr 239152, 239153, 239154, 240833, wydane przez „Agromet” Jawor, Tadeusz, Halina Komarnicey, Jawor, Piastowska 8/59. 24304-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową seria T nr 492198, wydaną przez Wojewódzki Urząd Telekomunikacyjny Legnica, Ryszard Bęblewski, Lubin, Drzymały 3/11. 24305-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową nr AK 473647, wydaną przez Dom Wczasowy „Perla” Szklarska Poręba, Ryszard Nowak, Legnica, Horyzontalna 10/26. 24306-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową nr T 360498, wydaną przez Spółdzielnię Kółek Rolniczych Lubin, Lucja Juszkowiak, Osiek 12, gm. Lubin. 24307-g

ZGUBIONO wkładkę zaopatrzeniową seria I nr 014886 Waldemar Adaszynski, Serby, ul. Główna 17a. 24308-g

SPRZEDAŻ

SPRZEDAM samochód marki „Syrena 105”, Rok produkcji 1976 oraz silnik do „Syreny 105”. Wiadomość: Jawor, ul. Cukrownicza 21/6, Jerzy Doroszkiewicz. 24295-g

SPRZEDAM „Syrenę 105”. Odbiór w Polmożbycie. Wiadomość: Legnica, ul. Heweliusza 18/9, po godz. 16, Aleksander Stanisławski. 24298-g

SPÓŁDZIELNIA

KÓLEK ROLNICZYCH

Krotoszyce,

woj. legnickie

SPRZEDA

każdą ilość

PUSTAKÓW

ŻUŻLOBETONOWYCH

„ALFA”

w cenie 81 zł.

Tel. 235-50, 818-10.

DYREKCJA PAŃSTWOWEGO DOMU POMOCY SPOŁECZNEJ

w Legnickim Polu

ZATRUDNI NATYCHMIAST

na godzinach

LEKARZY OGÓLNYCH

I LEKARZY PSYCHIATRÓW.

Zapewniamy wynagrodzenie za pracę według stawek obowiązujących w służbie zdrowia.

Dla lekarzy posiadających własne samochody zapewniamy ryczałt za korzystanie z tych samochodów do celów służbowych.

140-k

DYREKCJA ZESPOŁU

SZKÓŁ ZAWODOWYCH

FMR „AGROMET – DOLZAMET”

w Chojnowie

PRZYJMUJE ZAPISY

na rok szkolny 1982/83 na następujące kierunki:

1. Technikum Mechaniczne —

BUDOWA MASZYN

I URZĄDZEŃ ROLNICZYCH

2. Zasadnicza Szkoła Zawodowa —

a) — TOKARZ

b) — ŚLUSARZ NARZĘDZIOWY

c) — ELEKTROMONTER.

Wszystkim absolwentom szkoły FMR „Agromet-Dolzamet”

w Chojnowie gwarantuje pracę w nowo uruchamianym ciągu produkcyjnym, opartym na licencjach zagranicznych.

Uczniowie technikum mogą ubiegać się o stypendium, uczniowie zasadniczej szkoły zawodowej otrzymują wynagrodzenie zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Nauka w technikum trwa 5 lat, w zasadniczej szkole zawodowej — 3 lata.

Zapisy trwają do 15 maja 1982 r.

Dokumenty należy składać bezpośrednio w sekretariacie szkoły osobście lub listownie, 59-225 Chojnow, ul. Wojska Polskiego 16, telefon 406.

Tam też działa szkolny punkt informacyjny, w którym można uzyskać bliższe informacje.

Ponadto informuje się, że przy szkole istnieje technikum mechaniczne wieczorowe na podbudowie zasadniczej szkoły zawodowej, o specjalności: obróbka skrawaniem i obróbka plastyczna oraz średnie studium zawodowe o specjalności: ogólnomechanicznej na podbudowie szkoły podstawowej.

Nauka w tych szkołach trwa 3 lata.

14—15

— A więc oszukałeś mnie, Tom. Domyślałem się, że jednak coś się jeszcze wydarzy... Byłeś fałszywym psem, Tom... Pamiętasz, jak było, gdy graliśmy w karty? Zawsze ze mną wygrywałeś! Zawsze! I zawsze czułem, że nie jesteś wobec mnie uczciwy...

Jeremias Brathford stał pod ścianą ciężko dysząc... Pokój był skromnie urządzony. Pod sufitem kołysała się goła żarówka, a światło jaskrawo odbijało się w białych ścianach. Składane łóżko i niewielki masywny stół stanowiły całe wyposażenie. Nie pasowały zupełnie do tego wnętrza dwa piękne, stylowe kieliszki do likieru, stojące na stole. Obok nich leżała kartka papieru. „Jem, dzisiaj wieczorem otruję Cię, ale masz przed sobą jedną jedyną szansę. W jednym z dwóch kieliszków jest odtrutka, w tym drugim — trucizna. Zagraj więc Jem tym razem w grę o życie i staraj się dobrze wybrać!”

Jeremias Brathford czytając tę kartkę czuł dreszcz strachu wolniutko wpełzający na jego plecy, a z twarzy odpłynęła mu cała krew. A przecież przeżył już niejedno. Czterdzieści z 70 lat swojego życia spędził na morzu. Jeszcze teraz był silny, krzepki, nieczym nie przypominał staruszkę...

A jednak bał się... Najpierw pomyślał o ucieczce. Popatrzył na otwarte okno i pobliski las. Wiedział, że za tym lasem jest wieś. Ale czy znajdzie tam odtrutkę? I w ogóle co mu da ucieczka? Nie, jedyna szansa była tutaj, w tych dwóch kieliszkach...

Uczuł, że ból potęguje się. — Nie masz już wiele czasu, stary Jemi — mruknął do siebie. — Musisz się więc szybko zdecydować, jeśli pragniesz jeszcze trochę żyć. Nie zastanawiaj się długo. Długi wybór — długa męczarnia. Jak będziesz dłużej marudził, to ze samego strachu dostaniesz zawału serca...

Powłókł się w stronę stolika i chwycił kieliszek z lewej strony. W ostatniej chwili zawahał się i znów zaczął mruzczyć.

— Wydaje ci się, że jesteś mędrce. Wmówiłeś sobie, że jesteś zahartowany w bojach. Teraz rzucasz się bez namysłu na kieliszki, jak kiedyś do tańca... Odrobinę rozumu, Jem, przynajmniej wtedy, gdy śmierć stoi pod drzwiami...

Wpatrzył się w oba kieliszki pod światło, zanurzył końce palców w ich zawartości, ostrożnie skosztował...

Nic! I tu, i tu była odrażająca, zielona lepka ciecz o obrzydliwym zapachu — zupełnie jakby dodano coś zgnilego... Chciał jeszcze bardziej zagmatwać sytuację, Tom, ty lotrze!

Dreszcze wstrząsnęły Jeremiasem. Dowłókł się do łóżka i owinął kółdrą. Mimo to dreszcz strachu? zimna? nie ustępował... Zobaczył przed sobą twarz Toma z młodości, jak wtedy, gdy wygrał, zadowolony ni to chichot, ni to gulgot wyrwał mu się z gardła...

Teraz było tak, jakby znów siedzieli naprzeciw siebie przy grze. Trzeba było walczyć z ogromnym napięciem, bez tchu, bez litości. Tyle, że teraz Jem Brathford był samotny przy stoliku gry, a jego przeciwnik gdzieś w zakamarkach

Tym razem stawka była najwyższa z możliwych — chodziło przecież o życie...

Brathford otworzył oczy. Nie mógł sobie pozwolić na drzemkę. Musiał czuwać... A więc Tom chce mnie wyprowadzić na drugi świat...

Mogę cię Tom nawet zrozumieć. W końcu i ja nie postąpiłem wobec ciebie przyzwoicie zabierając ci twoją żonę...

Silne klucze w żołądku przerwały tok myślenia. Jednak Jem, od-

spodobów, aby Jemowi dołożyć. Jego ręce jak szpony trzymały karty, a jego oczy jarzyły się z rozkoszy, że nikt nie może poznać się na karcianych trikach. Jem grał z nim zawsze, choć wiedział, że za każdym razem będzie oszukany. Grał, bo liczył na to, że wreszcie przejrzy Toma, wykryje jego mactwa. Za każdym jednak razem wygrywał Tom. Nie pomagało pilnowanie kart, szukanie na nich śladów jakichś znaczeń. Zawsze Tom był górą, a porażkę ponosił Jem.

DWA KIELISZKI LIKIERU ARMIN GÖRTZ

dychając szybko zmusił się do dalszego rozpamiętywania przeszłości.

Nie zapomniał ani jednego dnia z ich wieloletniej znajomości. Teraz Tom napisał do niego list, że jest już starym, zupełnie osamotnionym człowiekiem i że chce go jeszcze raz w życiu zobaczyć... Poprosił o odwiedziny w starej leśniczówce... — A ja, stary głupiec — pomyślał Jem — wzruszyłem się tymi idiotyzmami, przyjechałem tutaj, przywiózłem nawet whisky. Jadłem i piłem i nie wpadło mi do głowy, żeby popatrzeć, co mi wlewa do kieliszka... Potem zawlókł mnie po schodach na górę, wepchnął do tego pokoju, zamknął drzwi, a potem... Potem znalazłem kartkę i te dwa kieliszki...

Jem zaśmiał się ochryple. — Jakże to proszę! — mruknął. — Są przecież tylko dwie możliwości. Mogę się założyć, że w obu kieliszkach jest to samo. A więc: albo są to dwa bilety do piekła, albo w obu kieliszkach jest odtrutka. Tak czy inaczej zatruł mnie na pewno i nie byłoby żadnego dowcipu, gdyby tutaj znów była tylko trucizna. Byłoby to zbyt wiele trudu na jednego starego Jema.

— A więc, rozważając dalej — on chce mi tylko napędzić porządnego stracha. Na pewno oba kieliszki napelnił odtrutką, żeby się staremu przyjacielowi nie przytrafiło. Jest więc logiczne, po prostu wypić zawartość jednego z nich.

Stary Jem wylazł z łóżka i szurając nogami chciał podejść do stołu, ale zakreśliło się mu w głowie, potknął się i upadł na podłogę. Znów zobaczył oczyma wyobraźni twarz Toma...

Jego twarz była twarzą fanatycznego gracza, który zawsze szukał

— Jednego tylko nauczyłem się przez te lata — westchnął Jem — kto się zadawał z Tomem, przegrywał. Była tylko jedna możliwość, by nie przegrać — nie grać!

Jem Brathford podniósł się i ociężale podszedł do stolika. Tak, Tom był przebiegłym człowiekiem i szulerem. Jednym z tych ludzi, dla których radość z podstępów była niemal ważniejsza od samej gry.

I dziś Tom gra także i wcale przy tym nie brudzi swoich rąk. On tylko gra, gra... Jego partner ma umrzeć z własnej ręki...

— Chciałbym tylko wiedzieć — zastanowił się nagle Jem — co dał mi dzisiaj wieczorem. Kto wie, co dla mnie wyłowił ze swojego zbioru lekarstwa. To jednak nie mogła być trucizna... Pociąłem się wprawdzie słabo, ale tylko trochę... Teraz wyraźnie czuję się lepiej. Tom, przejrzałem cię. Ty mnie nie otruleś. Ty wlałeś truciznę do kieliszków. Do OBU KIELISZKÓW, Tom...

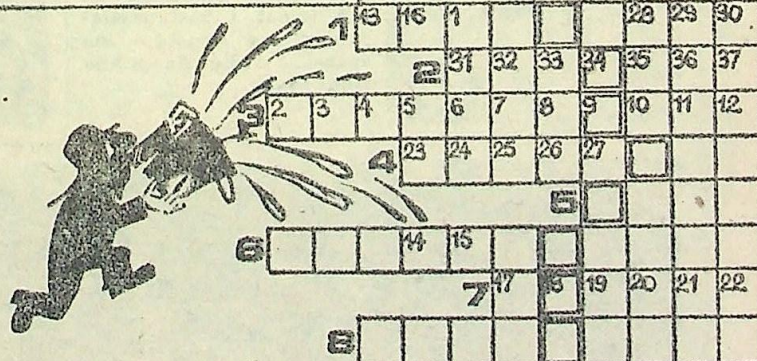
Po jednym trochę ryzykownym skoku z okna i pięciu milach marszu Jeremias Brathford zgłosił się w najlepszym zdrowiu i komerze na policję. Dyżurnemu inspektorowi pokazał chustkę do nosa, którą zamurzył poprzednio w kleistym zicionym płynie.

— Proszę to zatrzymać — powiedział — jako dowód morderstwa — i zaraz sprostował uśmiechając się wesoło: — Jako dowód próby dokonania morderstwa.

KONKURS

W widocznych na rysunkach rozmówkach zastąpiliśmy niektóre wyrazy cyframi w kółkach. Zadaniem twoim jest odgadnięcie ukrytych wyrazów i wpisanie ich w odpowiednie rzędy poziome diagramu. Pierwszą część hasła otrzymasz w oznaczonym grubą linią rzędzie pionowym. Litery z kratek oznaczonych cyframi ułożą się w drugą część rozwiązania. Hasło należy wpisać do kuponu, który naklejasz na kartkę pocztową. Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: Redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, 59-220 Legnica, skrytka pocztowa 145. Na kartce należy umieścić dopisek „Konkurs”. Na rozwiązanie czekamy do 30 kwietnia 1982 r.

Konkurs przygotowała Wojewódzka Komenda Straży Pożarnej w Legnicy i nasza redakcja. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań wylosujemy cenne nagrody: KASĘ OZDOBNĄ, PIŁKĘ NOŻNĄ, LUSTRO STYLÓWE, PATERĘ METALOWĄ, PLETWY I KOMPLET SERWETEK.



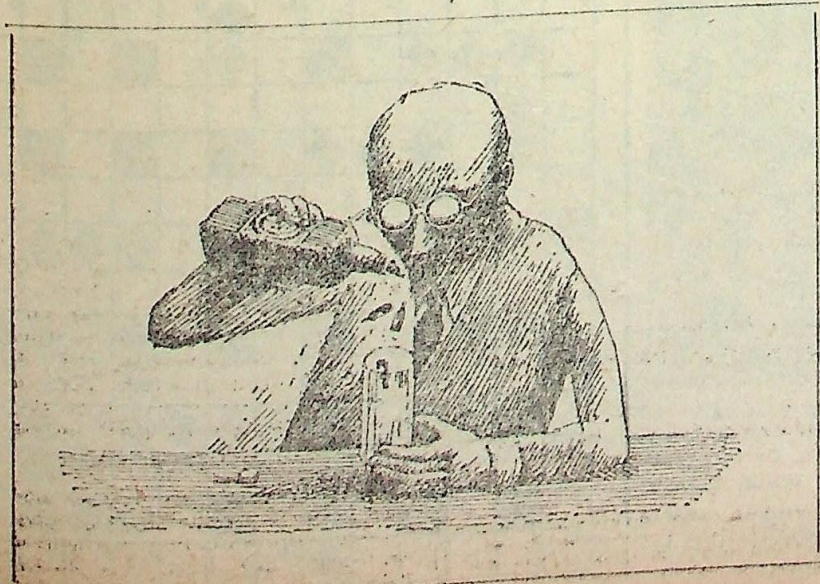
KUPON

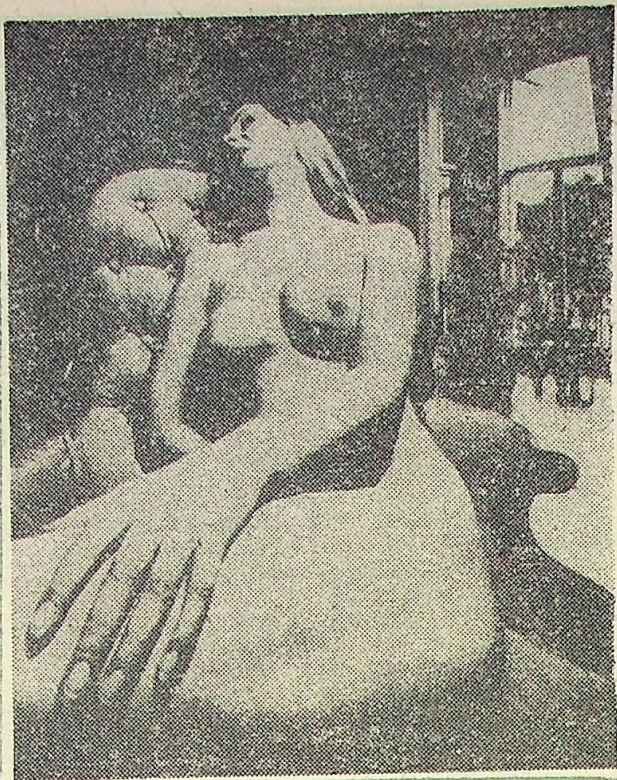
Hasło brzmi:

Imię, nazwisko i adres nadawcy:

KUPON

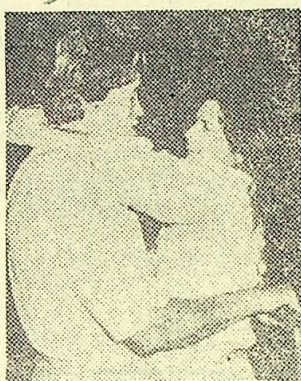
KONKURS





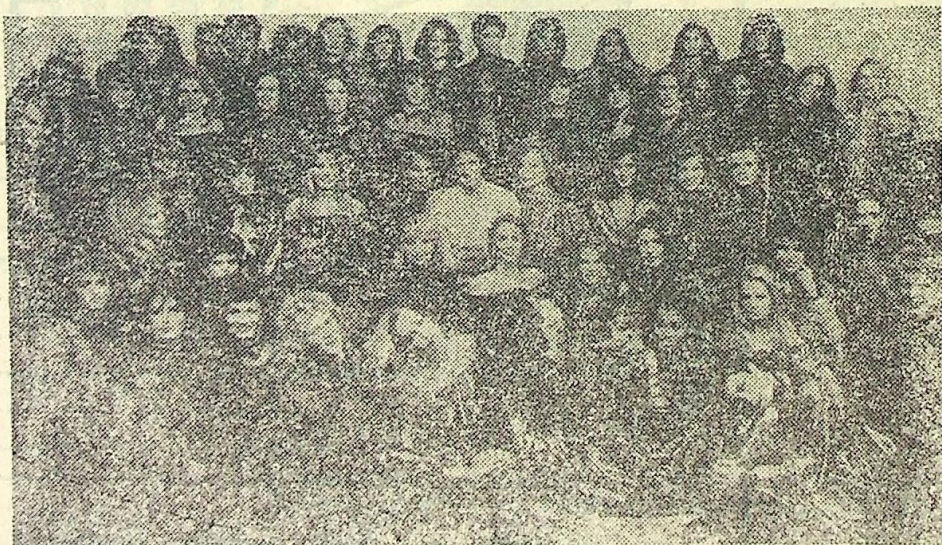
MIŁOŚĆ BEZ HAPPY ENDU

On — 33-letni Francuz Ammanuel Bellefroid od 1975 roku pracuje jako dyplomata i sinolog we francuskiej ambasadzie w Pekinie. Ona — 25-letnia malarzka Li Shuang jest czołową postacią pekińskiej grupy artystycznej „Gwiazdy”. Obaj dwójce poznali się w Pekinie i postanowili się poobrać. Jednak władze chińskie były temu przeciwnie. We wrześniu ubiegłego roku Li Shuang została niespodziewanie aresztowana i na dwa lata osadzona w obozie pracy, a Bellefroid musiał opuścić Chiny. Niedawno niedoszły pan młody wykupił w każdej z paryskich gazet całą stronę i wydrukował apele o uwolnienie swej narzeczonej. Czy władze chińskie ulegną?



MUSKUŁY DLA MARII

Byli mistrz świata w kulturystyce Arnold Schwarzenegger zakończył już karierę sportową i postanowił, iż jego mięśnie podziwiać teraz będą nie sędziowie punktowi, lecz piękne kobiety. Na pierwszy ogień poszła 24-letnia studentka Maria Shriver, siostrzenica Johna F. Kennedy. Teda i Roberta Kennedych. Amerykańskie gazety spekulują na ten temat i zastanawiają się, czy Arnold ma szansę wejść do klanu Kennedych.



Już chyba nigdy Dustin Pittman, fotograf z amerykańskiego pisma dla pań „Woman's Wear Daily”, nie będzie miał okazji wykonać takiego zdjęcia. Te 55 dam to najdroższe modelki świata.

NAJDROŻSZE

ta ściągnięte na jeden dzień do Nowego Jorku przez tamtejszego twórcę mody Calvina Kleina. Każda z nich bierze

HI - FI?

Przy absolutnej ciszy powinien 28-letni Amerykanin słyszeć zupełnie wyraźnie w swojej głowie... program radiowy najbliższej stacji. Początkowo opowieści o posiadaniu w głowie radioodbiornika uważano za kłamstwo. Jednak szczegółowe badania lekarskie potwierdziły, że mówił prawdę. Gdy ułożono go w całkowicie odizolowanym pomieszczeniu potrafił szczegółowo powiedzieć co akurat nadawała stacja w Miami. Jedynym wytłumaczeniem tego przedziwnego zjawiska było dla lekarzy to, że człowiek ten walczył w Wietnamie gdzie został ranny i w kręgach szyjnych miał jeszcze 10 małych odłamków pocisku z granatnika. Być może one działały jak radioodbiorniki. Gdyby to się wydarzyło u nas, musiałby chyba zapłacić abonament radio-telewizyjny.

SYN W WIZJERZE

Możemy się założyć, że nigdy nie zgadniecie, kim jest ten starszy pan w szarym trenczu i z japońskim aparatem w ręku. To 65-letni Joe Jagger, ojciec lidera zespołu „Rolling Stones” Micka Jaggera. Ten skromny nauczyciel fizyki przyjechał niedawno do Nowego Jorku i poszedł na koncert swojego syna do słynnej Madison Square Garden, gdzie postanowił skorzystał z okazji i zrobić pamiątkowe zdjęcie do rodzinnego albumu.



GWIAZDY MÓWIĄ

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z przymrużeniem oka, a losów swoich gwiazdom nie powierzą...

BARAN (21III—20IV). Zbyt przejmujesz się drobiazgami, na dodatek więcej w nich Twojej imaginacji niż faktów. Musisz odzyskać pogodę ducha, a pomóc Ci w tym może ktoś bardzo bliski sercu, pod warunkiem, że będziesz słuchać dobrych rad.

BYK (21IV—21V). Twoje szanse wyraźnie rosną. Jeśli będziesz nadal pamiętać o danych obietnicach, sprawa przybierze pomyślny obrót. W sprawach sercowych spotka Cię zawód i będzie to skutek lekkomyślnego zawierania znajomości.

BLIŹNIĘTA (22V—21VI). Tydzień, a zwłaszcza druga jego połowa, zapowiada się bardzo spokojnie. W pierwszych dniach da Ci się poznać we znaki ożywione życie towarzyskie. Uważaj z wydatkami!

RAK (22VI—22VII). Nadchodzi czas, aby sfinalizować najbardziej osobiste sprawy. Są wszelkie dane po temu, aby wszystko ułożyło się szczęśliwie. Pamiętaj jednak wypadałoby, że nie jest to zwykłe zrzęczenie losu, a czyjaś pomocna ręka.

LEW (23VII—22VIII). Dążenie do samotności może dać rezultaty wręcz przeciwnie do zamierzonych. Zastanów się więc jeszcze raz dobrze nad własną decyzją, dopóki kłama nie zapadła. W pracy — korzystne dotąd układy zaczynają się psuć?

PANNA (23VIII—22IX). W tych dniach okaże się czy Twój wybór był właściwy. Nie rozdieraj szat na zapas, gdyż jeszcze można wszystko naprawić. W domu — sporo towarzyskich obowiązków. Sporo wydatków, których jednak nie będziesz żałować.

WAGA (23IX—22X). Musisz postępować bardziej roz-

sądnie i z większym taktem. Pamiętaj, że nikt nie lubi być pouczany i musztrowany. Lepszy wynik osiągniesz serdeczną, szczerą rozmową. Odtóż planowany wyjazd — może okazać się bardzo kłopotliwy, a niczego nie zmienia.

SKORPION (23X—22XI). Mirno zniechęcenia, obowiązki przyjęte na siebie trzeba wykonać. Postaraj się jednak pomyśleć o relaksie w ciągu najbliższych dni. W sprawach rodzinnych nastąpi niewielka poprawa, ale na więcej liczyć na razie nie możesz.

STRZELEC (23XI—22XII). Planowane przedsięwzięcie trzeba będzie odłożyć na czas nieokreślony. Na razie staraj się o zdobycie sojuszników. W sprawach serca gwiazdy zapowiadają niespodziewany nawrót uczuć do dawnej miłości...

KOZIOROŻEC (23XII—20I). Nie masz najmniejszych powodów do zazdrości i nie dawaj ponieść się fantazji. Masz wszelkie dane, by rzecz ułożyć szczęśliwie, więc nie szukaj dziury w całym. Więcej przyłóż się w pracy, bo ostatnio wyraźnie zaniedbujesz swoje obowiązki.

WODNIK (21I—20II). Nawal pracy nie pozwoli na prowadzenie takiego życia towarzyskiego jakie masz w zwyczaj. Jednocześnie jednak coraz bardziej realne staje się rozluźnienie tych kontaktów osobowych, na których Ci zależy. Wyjście z tej sytuacji będzie trudniejsze niż myślisz.

RYBY (21II—20III). W miłej rodzinnej atmosferze wspomnij o kłopotach, jakich Ci ostatnio nie brakuje. Nie planuj dalekich podróży, bo pomysł spali na panewce a zawód mógłby być olbrzymi. Sprawy sercowe nabiorą rumieńców, jeżeli nie będziesz działać impulsywnie.

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1 — transport, 4 — wstaje jeden, 19 — leży w rzeźba, 7 — część roweru, 8 — talent, 9 — naczynie na owoce, 10 — trzyma drzwi w szafie, 11 — na pewno nie si- wek, 14 — zwana również Chaldej, 16 — istota pośrednia między człowiekiem a bogiem, 18 — na nim hasło, 20 — też lala, 21 — dziś grecki nomos ze stolicą w Tripolisie.

Pionowo: 1 — tam, gdzie dyszel, 2 — samochód, 3 — meander, 4 — pani od nian-czenia, 5 — może być konopny, 6 — krzemiany metali dwu- i trójwartościowych, 7 — wiatru lub młodzieńcy, 9 — ma do czynienia z białą bronią, 10 — choćby Luwr, 12 — wciąga się w fach, 13 — metalowy lew z obręczą w paszczy, 15 — kolarzy się ze sławą, 17 — gdy z dwóch po-

Nagrody książkowe wylosowali: Lucyna Krzywicka, ul. Nowotki 11/3, 59-220 Legnica, Ludwika Kotek, Kostrza, 59-150 Strzegom, Witold Wębronia, ul. Krasickiego 12/16, 59-300 Lubin. Na rozwiązanie krzyżówki z numeru 9 czekamy do 17 kwietnia, br.

